

Koniecznienie przeczytaj!

PARTYZANCI. Maciej Podgórski śledzi losy partyzantów z Rzeczy Ziemiańskiej. Stąd pochodził legendarny „Ali” — Aleksander Szymański. O jego tajemniczej śmierci mówi Jan Gozdur: „To jest dziwna sprawa, zwłoki Szymańskiego i Drąga były przykryte gałęziami. Niemcy nie mieli zwyczaju zabezpieczać w ten sposób ciała swoich ofiar”...

WE WTOREK, TRZYNASTEGO... Co się zdarzyło tego dnia? Kim była piękna Amazonka? Dlaczego Józef Nóżka zdecydował się na dramatyczny krok? „Kobiety bywają okrutne, więcej: kobiety umieją być okrutne”. Stanisław Zbojowy kreśli w reportażu jedną ze współczesnych tragedii ludzkich.

POWOLANIE CZY UCIEZKA? Jakie przyczyny skłaniają młodych ludzi kończących studia do pozostania w uczelniach, a jakie kierują tymi, którzy po odbyciu stażu asystenckiego odchodzą? Z punktu widzenia asystenta analizuje ten problem Krzysztof Lech Rutkowski.

PATRIOTYCZNY, REWOLUCYJNY, LUDZKI. 10 rocznica śmierci Władysława Broniewskiego. Piszze Zygmunt Mikulski: „Był poetą prawdziwym, to znaczy umiejącym trafić do wrażliwości odbiorców, i człowiekiem prawdziwym, to znaczy przekonującym słuszością zajmowanej postawy.

„LUBGAL” — CO HAMUJE? Zabierają głos przedstawiciele załogi i kierownictwa tego poważnego przedsięwzięcia, dostarczającego na rynek wewnętrzny i na eksport wyroby dziewiarskie i galanterię skórzaną. Sprawa zarządzania przemysłem terenowym — jeden z wniosków — wciąż jeszcze czeka na definitywne rozwiązanie.

TRZYNASTEGO... WYKŁADY EKSTRAPREMIERY. Maria Bechcysz-Rudnicka pisze m.in. o „Różowej różu”, wystawionej przez Teatr im. J. Osterwy: „Wyznaję, długo męczyłam się dociekaniem, dlaczego lubelskie przedstawienie „Różowej różu” jest — no, miejmy odwagę powiedzieć otwarcie: dlaczego jest wręcz nudne? Właśnie dlaczego? Przeczytaj!

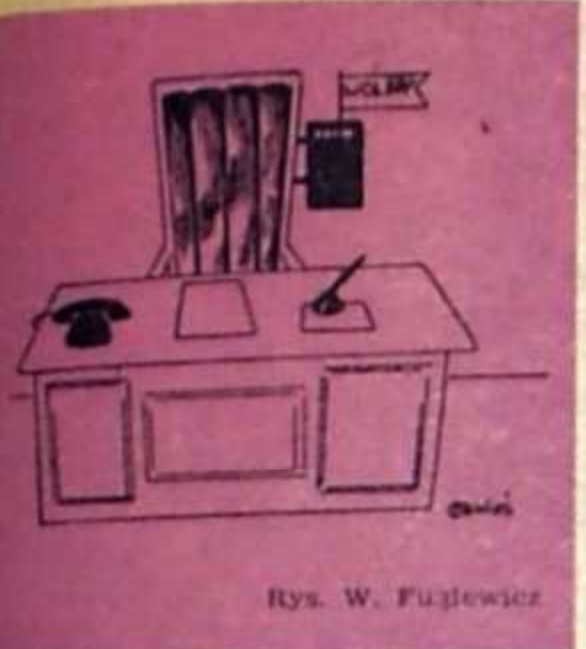
JUTRO KULTURY. Ireneusz J. Kamiński snuje rozważania na marginesie projektu Programu Rozwoju Kultury Województwa Lubelskiego na lata 1972-1980. „Czy rzeczywistość lat najbliższych będzie rzeczywiście życzliwsza dla kultury? — oto pytanie o pierwszorzędym znaczeniu...”

POLEMIKI. Józef Baran atakuje młodych poetów, „którzy utracili wzrok przy czytaniu gazet, a słuch w zgiełku ulicy”. Do młodych poetów nie dociera szepot pojedynczego człowieka, potrafią jednak mówić i mówić. Doszli do takiej perfekcji, iż mówią — nie patrząc i nie słysząc.

NIECH ŻYJE NAGRODA! Ijon pyta: „Inicjatywy, inicjatywy. Gdzie one? „Kopę i mendel narad za jedną ciekawą inicjatywę” — kiedy w lubelskiej gazecie pojawi się takie ogłoszenie?”

Poza tym: opowiadanie Edmunda Pietryka, felietony, listy, krzyżówka i inne ciekawe pozycje.

Jesteś już stałym czytelnikiem?



Rys. W. Fuzlewicz

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 13 II 1972 Nr 4 (489)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Jutro kultury

Ireneusz J. Kamiński

W MIESIĘCIE wojewódzkim Lublinie — haniebnie banalna obserwacja — Teatr im. Osterwy, uważany za jedną z ruchliwszych i ciekawszych scen w kraju, ma poważne kłopoty z zapelnieniem widowni, czego absolutnie nie odczuwa operetka. Wystawy plastyczne w BWA, często wysokiej próby, mają pojedynczych widzów, w Filharmonii zaś, prowadzącej notabene szeroką działalność umuzykalniającą dla szkół, spotkać można stale tę samą, wierną grupę słuchaczy. Frekwencję w muzeach zachowują zbiorowe wycieczki, w niestychanym wprost tempie zaliczające ekspozycje za ekspozycje, byle do minimum sprowadzić czas poświęcony bezpotrzebnie. A rady zakładowe przedsiębiorstw i instytucji stają na głowie, aby jak najwięcej biletów zdobyć na fascynujący przepychem i szmirą seans „Kleopatry” w zeroekranowym kinie „Kosmos”.

Ponadto: wskaźnik czytelnictwa w województwie jest niższy od prze-

ciętej krajowej, a na jednego mieszkańca Lubelszczyzny przypada zaledwie ok. 65 egzemplarzy gazet i periodyków; średnia ogólnopolska rozprowadzenia prasy jest większa o 27,8 egzemplarza.

W biegu do lepszego jutra przeciętny obywatel mijsi się wyraźnie z tradycyjnymi postaciami kultury wyższej i nie jest to sprawa jego indywidualnego wyboru, lecz wynikiem historycznych przemian struktury społecznej. Do dziś 60 proc. ludności regionu utrzymuje się z rolnictwa, a niemal wszyscy robotnicy lubelskich zakładów przemysłowych pochodzą ze wsi. Po części tkwią oni jeszcze w niejako własnej subkulturze ludowej, po części — i to jest właśnie najbardziej dramatyczne z punktu widzenia interesów kultury socjalistycznej — kierują się normami i wzorcami kultury drobnomieszczańskiej. Zauważono już niejednokrotnie, że człowiek otwarty na nowe zjawiska polityczne, w sferze doznań etycznych i estetycz-

Dokończenie na str. 6-7

PARTYZANCI

Maciej Podgórski

O Rzeczy Ziemiańskiej, wsi w powiecie krańickim, można nie- skończenie... Szczególnie, gdy się człowiek rozpatrzy w rozmaitych źródłach drukowanych. To jedna z miejscowości, które — obok pobliskiej Grabówki, Ludmiłówki czy Swieciechowa — domagają się osobnej monografii historycznej. A dziennikarzowi tymczasem przychodzi ochota na wyważony, całościowy reportaż historyczny.

J ECHAŁEM tam z nadzieją skonfrontowania i uzupełnienia wykładanego materiału na taki reportaż, wiedząc, iż Rzeczyca historia najnowsza grubo obrośnięta, w różnych mądrych książkach (nie zawsze zresztą ze sobą zgodnych) wyszczególniana, Orderem Krzyża Grunwaldu II klasy odznaczona (31 sierpnia 1945 roku, więc jako jedna z pierwszych w kraju miejscowości wyróżnionych orderami państwowymi Polski Ludowej).

Stąd pochodził legendarny „Ali” — Aleksander Szymański, dziennikarz i wybitny organizator ruchu komunistycznego na Lubelszczyźnie. W biografii Szymańskiego najlepiej chyba przełamują się dzieje rzeczywistej sławy i chwwały. On w czasach międzywojennych założył tu koło Niezależnej Partii Chłopskiej, a następnie komórkę Komunistycznej Partii Polski (pierwszą bodaj w powiecie krańickim). On w okresie okupacji był na tym terenie jednym z inlektorów Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej, a potem — w samej Rzeczy — inspirował powstanie komórki PPR (marzec 1942). Organizował podobne komórki w innych miejscowościach, także grupy wypadowe i oddziały leśne GL. Zajmował wysokie stanowiska we władzach PPR i do- wództwie GL na Lubelszczyźnie. A trzeba wiedzieć, że siedziby tych organów w pewnym okresie mieściły się właśnie w Rzeczycy, podobnie jak powołana w kwietniu 1944 roku pierwsza, konspiracyjna jeszcze, Rada Narodowa dla powiatu krańickiego.

Dobrze jest, myślałem sobie — zadufany mlekos, nieświadom tamtych dziejów — poszperam w książeczkach, rozwinę nieco te sprawy, gdzie należy — streszczę, wyinkrustuję relacjami ludzi, z którymi będę rozmawiał, a którzy w tym uczestniczyli i dotąd mieszkają w Rzeczycy, no i zadanie redakcyjne wykonane. Może dodam trochę liryki w rodzaju: działali, walczyli, tu wróg, tam przyjaciel, ginęli, przeżyli, bohaterowie, kropka.

Pojechałem na miejsce, rozmawiałem z ludźmi, i tandetnie skłamałbym twierdząc, że natychmiast doświadczył jakiegoś oczyszczającego szlachetnego widzenia. Doświadczyłem tylko pewnej refleksji. A skłonność ku zgrabnym, wyważonym, całościowym reportażom historycznym w każdym razie przeszła.

Działali, walczyli, tu wróg, tam przyjaciel, ginęli, przeżyli, bohaterowie, kropka. Niby oczywiste, jak oczywista wydaje się historyczna i społeczna racja, której służyli. Lecz te sprawy nie we wszystkim były tak proste, gdyż nie jest prosta większość spraw człowieka, szczególnie w wymiarze psychologii indywidualnej oraz w mikrokosmosie najbliższych związków ludzkich.

Kazimierz Białek, rodem ze Swieciechowa, obecnie prezes krańickiego ZBoWID-u, dawny działacz ZWM i PPR, opowiadał mi o tradycjach ruchu lewicowego w swojej rodzinie, sięgających czasów SDKPiL oraz KPP. Przy okazji usłyszałem historię innej rodziny. Matki i dwu synów. Naprzeciw wkraczającym wojskom Wermachtu ona wyniosła święty obraz, witając w ten sposób nowy porządek. Jej synowie zaś byli potem aktywnymi partyzantami GL. Nieraz więc przyszło dokonywać wyboru wbrew swym najbliższym. I to byłby sytuacje jeszcze względnie proste.

Staje się pierwszorzędym zadaniem pisarskim — dziś, gdy ważniejsze fakty historyczne są już znane — odsłonięcie motywów psychicznych i okoliczności wyboru, dokonywanego przez tych ludzi. Ich losy późniejsze, obecne. Warianty indywidualnych karier i porażek. Dzisiejsze napięcia psychiczne, urazy, ambicje... Jest do napisania — przynajmniej w takim zakresie, jak to wobec Kolumbów uczynił Bratny — portret duchowy tej, rówieśnej przeciw Kolumbom, generacji. Zbyt często bowiem mówi się i pisze o tamtych dziejach w stylu „rewolwerowy” czy naiwnej dydaktyki dla ubogich, zbyt

Dokończenie na str. 3

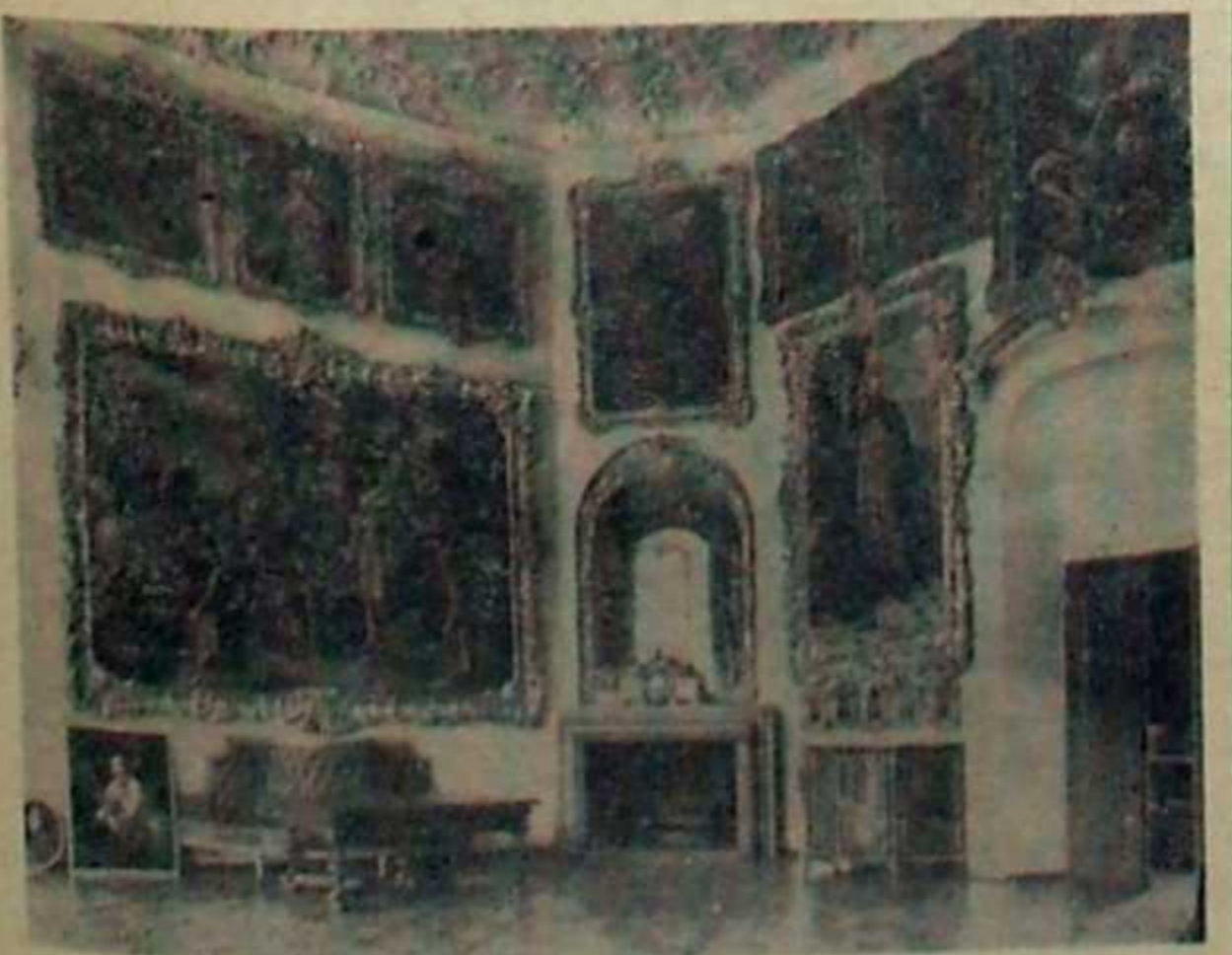
W tym krzyku zostaną młodym

Zbigniew Jerzyna

T YLKO raz i to przez parę minut rozmawiałem z Broniewskim. Znałem go z pierwszych lektur poetyckich. Zaraz po wojnie, na wsi, jako dziecko w wytartej, przez nadmierne używanie, czytance szkolnej przeczytałem „Zołnierza polskiego” i „Bagnet na broń”. Nie wiedziałem wtedy, czym jest poezja, czym jest wiersz. Te rzadki słowa przekazywały mi dramat tamtych dni. Elegijny „Zołnierz polski” zawierał cały ból bliskiego mi otoczenia, jego nadzieję i bezsilną udrękę. Już potem, w okresie szkolnym, na wielu akademickich recytowałem „Komunę Paryską”, „Elegię o śmierci Ludwika Waryńskiego”, „No pasaran!”. Mówiłem te wiersze — urzeczony. Dzisiaj — poezję Broniewskiego odczytuje jeszcze inaczej. Jestem czytany w wielu poetach. Śledzę powolną za- tratę uczucia i bezpośredniości w młodej poezji polskiej. Boję się nad jej oschłością i myślowym skostnieniem. Nad jej pawim mizdrzeniem się i nad utratą żywego kontaktu z narodową tradycją. Dziś — wiersze Broniewskiego czytam ze wra- stającym szacunkiem.

Pierwszy, wydany w 1925 roku, tom Broniewskiego „Wiatraki” był dopiero bardzo znaczącą zapowiedzią. Jeszcze w wierszach tego tomu zbyt dużo śladów Majakowskiego i Jesienina. Ale już zaznacza się wyjątkowa pasja i wrażliwość poety. Następne tomy „Dymy nad miastem”, „Komuna Paryska”, „Troška i pieśń” — ugruntowały sławę Broniewskiego jako wybitnego poety rewolucyjnego. Poeta rewolucyjny, ale nie rezygnujący z liryzmu. Władający kilka stron natury ludzkiej. Nie oślepiony walką, nie skandując podrywających do czynu hasel —

Dokończenie na str. 4



Wnętrze XVIII-wiecznego pałacu w Kozłowce (woj. lubelskie), który pełnił dotąd funkcję Centralnej Składowicy Muzealnej. Fot. Z. Zugał

15-lecie Wydawnictwa Lubelskiego

Wydawnictwo Lubelskie kontynuator Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej — obchodzi w lutym swe 15-lecie. Mgr Paweł Dąbek, dyrektor WL, przypomniał w wywiadzie prasowym, że nakładem Wydawnictwa Lubelskiego ukazało się 500 tytułów (4,4 mln egzemplarzy). Niemal 40 proc. stanowią publikacje społeczno-polityczne, z których wiele traktuje o dziejach regionu lubelskiego. Szczególnie bogata jest działalność edytorska związana z okresem wojny i okupacji hitlerowskiej.

Wydawnictwo poświęca też sporo uwagi literaturze pięknej, wyraźnie aktywizując twórcze środowiska Lubelszczyzny i sąsiednich województw.

Z okazji 15-lecia redakcja „Kamień” składa koleżankom i kolegom z WL serdeczne gratulacje i życzenia dalszej owocnej pracy dla dobra kultury. W jednym z najbliższych numerów poświęcimy większą uwagę tej placówce, której powstanie i rozwój jest ściśle związane z osobą mgr. Pawła Dąbka, jednego ze współzałożycieli LSW, a dziś dyrektora WL.

Literatura

Muzyka

W „Bibliotece poetów” Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wyda w tym roku 12 tomików, w tym poezje Byrona, Villona, Karpińskiego, Lechonia, Stomilskiego, Zagórskiego.

„Czytelnik” wyda w tym roku nowe tomy prozy Iwaszkiewicza, Parnickiego, Puźrumenta, Dygasa, Hohuja, Bratnego, Lema, Lopałewskiego, K. Brandysa oraz nowy dramat Andrzeja Żmichowskiego. A także nowy przekład całości „Allegii w krainie czarów”, dokonany przez Macieja Ślomońskiego, dokonany przez Macieja Ślomońskiego, Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz redakcji „Głosu Pracy” pierwszą nagrodę w dziedzinie literatury pięknej zdobyła Stanisława Fleszarowa-Muskat za książkę „Przerwa na życie”, a w dziedzinie literatury młodzieżowej Maria Ziółkowska za „Kocha, lubi, szanuje”.

W konkursie Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, ZLP i ZMW na debiut prozatorski pierwszą nagrodę zdobył J. Łozński z Wrocławia.

W dorocznym plebiscycie „Kurier Polkowski” pod hasłem „Książka roku 1971” pod względem powieści T. Konwickiego „Nie albo nie”, a na drugim miejscu znalazły się „Fantomy” Marii Kuncewiczowej.

Nagrodę Pencibuta dla tłumaczy otrzymały tym razem same kobiety: Zofia Siwicka za przekłady Szekspira i Barbara Sieroszewska za przekłady prozy włoskiej. Za upowszechnianie literatury polskiej drogą przekładów nagrodę otrzymał Marlon i Arthur Colemanowie z USA.

W dniach 22-24 maja odbędzie się w Łodzi VII Ogólnopolski Festiwal Poezji, przewidujący dwa konkursy na nie publikowane dotąd wiersze, a także nagrodę za najlepszy opublikowany tom poezji.

Teatr

W bieżącym sezonie polskie teatry dramatyczne dadzą ponad 400 premier, w tym 115 premier polskich sztuk współczesnych (25 premier). Książka polska obejmuje 90 pozycji, klasyka światowa 94. Największym powodzeniem cieszy się wciąż Fredro — mają odbyć się 23 premiery. 7 teatrów planuje realizację mickiewiczowskich „Dziadów” a 5 „Wyzwolenia” Wyspiańskiego.

W ramach Dni Warszawy Teatr Ateneum zaprezentował sztukę młodego dramaturga polskiego Adama Kreczmara „Hyde Park” oraz sztukę „Wesny” w adaptacji Alberta Camusa.

Mediołański Piccolo Teatro wystawi „Dialogi pasyjne” w reżyserii Kazimierza Dejmki i scenografii Andrzeja Majewskiego.

Teatr Dramatyczny w Sztokholmie wystawi „Matkę” St. I. Witkiewicza. Zdaniem recenzentów reżyser Alf Sjöberg zepchnął absurdalną filozofię autora na plan drugi, zastępując ją chwytami komediowymi, a nawet groteska, co znacznie zubożyło sztukę.

3 maja w londyńskim teatrze Drury Lane odbędzie się premiera przełomnej sztuki powieści Margaret Mitchell „Przebiegłość i wstrętem”. W tym samym teatrze przez wiele lat grano „My Fair Lady”, przeróbkę „Pigmaliона”.

W Kairze istnieją zarówno teatry państwowe jak i prywatne. Te pierwsze dają przeważnie repertuar o wieloletnim ciężarze gatunkowym.

Sztuka

W konkursie fotograficznym „Przyjazd w obiektywie”, zorganizowanym przez CAF, „Express Wzrosty” i „Czerwony Szandar” z Wilna, przyznano 62 nagrody główne, 8 zespołowych i 70 nagród pocieszna.

W Paryżu eksponowana jest wystawa rysunków dziecięcych z okazji 25-lecia działalności UNICEF. Wśród rysunków są prace dwu Polek, laureatek konkursu z 1970 roku — 13-letniej Eli Fuksa i 4-letniej Ani Mincer.

Lew Kerbel, laureat Nagrody Lenińskiej zakończył prace przy granitowej rzeźbie, która jako pomnik stanie w Moskwie na cześć lekarzy z dzieckich, poległych w ostatniej wojnie. Odsłonięcie pomnika nastąpi 9 maja. Z kolei Kerbel rozpoczął prace nad monumentalną kompozycją na cześć Rewolucji Październikowej.

W La Manchy powstało towarzystwo, które zamierza odrestaurować i chronić jedyny wiatrak; przetrwał on tam z czasów Cervantesa.

Biblioteka uniwersyteckiego w Halle obchodziła 275-lecie. W jej zbiorach znajduje się 8 mln rękopisów, papirusów i starodruków.

Ekspedycja amerykańska na wyspach Bonaire, odległej o 60 mil morskich od brzości Wenezueli, stwierdziła, że rybniki i znaki w grotach są piśmami Majów. Potwierdza to hipotezę, że Majowie podejmowali dłuższe podróże morskie.

19 marca wybory do Sejmu PRL

19 MARCA odbędą się wybory do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Front Jedności Narodu wystąpił już z deklaracją wyborczą.

Kierunek dalszego socjalistycznego rozwoju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — stwierdza ten dokument — wytycza program uchwalony przez VI Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, kierowniczej siły Frontu Jedności Narodu i politycznej przewodniczką narodu polskiego. Na ten program złożyły się myśli, odczucia i pragnienia milionów ludzi pracy — robotników, chłopów, inteligencji, członków partii i stronnictw politycznych, organizacji społecznych, bezpartyjnych — wyrażone w ogólnonarodowej dyskusji przed VI Zjazdem. Jest to program kontynuacji wielkiego dorobku Polski Ludowej, program rozwiązywania zadań nowego etapu budowy socjalizmu. Jest to nasz wspólny ogólnonarodowy program. Jego treść zasadnicza stanowi troska o konkretny, odczuwalny wzrost dobrobytu społeczeństwa i jednostki, zapewnienie pomyślności państwa i obywatela.

Deklaracja głosi, że chcemy przyspieszyć rozwój Polski we wszystkich dziedzinach. Zasadniczym celem polityki społeczno-ekonomicznej państwa jest i będzie systematyczna poprawa bytowych, socjalnych i kulturalnych warunków życia naszego społeczeństwa. Cel ten może być osiągnięty jedynie poprzez dynamiczny rozwój sił wytwórczych, wzrost społecznej wydajności pracy, postęp naukowy, techniczny, przebudowę i unowocześnienie struktury gospodarczej kraju, zwiększenie efektywności gospodarowania, bliższą i pełniejszą współpracę z bratnimi krajami socjalistycznymi w ramach RWPG, a także intensywniejszą wymianę handlową ze wszystkimi krajami świata. Pragniemy pełniej wyzwoleć możliwości, jakie zawiera w sobie socjalizm, zapewnić lepsze wyniki w przemyśle i rolnictwie, w usługach, handlu i zaopatrzeniu, w całości służb publicznych. Stworzymy w wyniku tego realne przesłanki dla poprawy sytuacji bytowej ogółu obywateli i lepszego zaspokajania ich potrzeb.

Program dalszego socjalistycznego rozwoju PRL, wszechstronnie wzbogacony i zaakceptowany w ogólnonarodowej dyskusji, uchwalony przez VI Zjazd PZPR wyznacza słuszną drogę realizacji tych zadań. Program ten właściwie łączy potrzeby dnia dzisiejszego i perspektywy rozwoju kraju, zapewnia harmonijny i proporcjonalny rozwój całej gospodarki narodowej i wszystkich regionów Polski. Pomyślne jego wykonanie będzie oznaczać poprawę sytuacji życiowej obywateli, lepsze zaspokajanie ich potrzeb w każdej dziedzinie: plac i warunków mieszkaniowych, ochrony zdrowia, organizacji racjonalnego wypoczynku, postępu w zakresie oświaty i kultury.

Sprawa siły i rozwoju Polski oraz pomyślność każdego jej obywatela jest w rękach wszystkich Polaków, zależy od rzetelnej pracy, kwalifikacji, aktywności społecznej i zaangażowania ideowego każdego z nas.

Będziemy — głosi deklaracja — rozwijać socjalistyczne stosunki społeczne w naszym kraju, doskonalić socjalistyczną demokrację, sprzyjać wszelkim poczynaniom, które podnoszą wartość obywatelskiej inicjatywy i umacniają zespolenie społeczeństwa z władzą ludową.

Kierunek działania sprawdzony w roku 1971 i zaakceptowany przez naród, stanowić będzie trwałą i nienaruszalną wytyczną rozwoju naszej socjalistycznej państwowości. Oznacza on:

- * umacnianie patriotycznej jedności naszego narodu w budowie socjalizmu, w pracy dla Polski oraz usuwanie wszystkiego, co jest sprzeczne z zasadami socjalizmu i jedność tę może osłabić;
- * dalsze umacnianie sojuszu robotniczo-chłopskiego — fundamentu władzy ludowej — zespalanie wysiłków robotników, chłopów i inteligencji w budowie Socjalistycznej Ojczyzny;
- * podnoszenie roli związków zawodowych i samorządu robotniczego, samorządu chłopskiego i masowych organizacji społecznych;
- * dalsze doskonalenie ustawodawczej i kontrolnej funkcji Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz umacnianie przedstawicielskiej roli rad narodowych i sprawności ich działania;
- * wdrażanie naukowych zasad organizacji we wszystkich ogniwach zarządzania i planowania, usprawnienie i unowocześnienie pracy administracji;
- * właściwy dobór kadr na wszystkie stanowiska. Podstawową oceną każdego człowieka i jego przydat-

ności powinny być obiektywnie oceniane rezultaty pracy, wiedza i doświadczenie oraz oddanie dla Socjalistycznej Ojczyzny;

* porządkowanie systemu prawnego i umacnianie poszanowania dla prawa ze strony władz i obywateli. Prawo socjalistycznego państwa musi być jasne, sprzyjające aktywności twórczej i inicjatywie, skuteczne w walce ze zjawiskami społecznie szkodliwymi.

W imię pomyślności naszej ojczyzny będziemy zespalali wysiłki partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących.

Deklaracja podkreśla dalej, że Polska jest niezłomnym ogniwem socjalistycznej wspólnoty, że łączy nas internacjonalistyczna więź solidarności ze wszystkimi siłami walczącymi na świecie o wolność, postęp społeczny i sprawiedliwość. Pragniemy pokoju dla świata i pokoju dla Europy — dlatego czynnie popieramy ideę europejskiej konferencji bezpieczeństwa i współpracy. Wiemy jednak, że pokój dla Europy i pokój dla całej ludzkości zależy od potęgi i jedności państw socjalistycznych. Utrwalamy zatem i mocniej jeszcze utrwalimy braterskie więzy łączące nas ze Związkiem Radzieckim i całą wspólnotą socjalistyczną. Jedność wspólnoty socjalistycznej, siły obronne Układu Warszawskiego — stanowią rękojmię naszego bezpieczeństwa i pokojowego rozwoju dziś i jutro. Strzec więc będziemy tej jedności. Umocnimy i będziemy Ludowe Wojsko Polskie i jego więź z narodem.

Takie są główne treści programu wypracowanego na VI Zjeździe Partii i ten program u nas jemy z a wspólny dla Frontu Jedności Narodu. Deklaracja wyraża przekonanie, że temu programowi udzieli poparcia wszyscy patrioci, wszyscy, komu droga jest przyszłość i dobro Polski — głosząc jednocześnie 19 marca na liście FJN. Liście te FJN przedstawi po konsultacji w organizacjach politycznych i społecznych, z załogami zakładów pracy, z szerokimi kręgami społecznymi.

Deklaracja FJN została przyjęta w czasie obrad plenarnej sesji Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, która odbyła się w Warszawie 29 stycznia. Po referacie przewodniczącego OK FJN Janusza Groszkowskiego, który przedstawił założenia programu wyborczego, rozpoczęła się dyskusja.

Członek Biura Politycznego KC PZPR prof. dr Henryk Jabłoński, omówił m. in. główne zadania, jakie staną przed nowo wybranym Sejmem. Na pierwszym miejscu wymienił sprawę zmian w konstytucji PRL oraz ustawy o radach narodowych — w celu dalszego doskonalenia naszego socjalistycznego państwa i pogłębiania socjalistycznej demokracji. Działaj, gdy odzyskały pełnię blasku lenińskie zasady życia wewnątrzpartyjnego, gdy przywrócone zostały właściwe stosunki między klasą robotniczą a jej partią, gdy na bazie wzajemnego zaufania partii i społeczeństwa umocniła się jej przewodnia w narodzie rola — nie może to nie znaleźć odbicia w ustawie zasadniczej. Konstytucja nasza nie może się ograniczać do ustalenia schematu instytucji państwowych i określenia zakresu ich działania. Istota bowiem naszego państwa polega na tym, że nie przeciwstawia ono rządzących i zarządzających, wprowadza prawdziwą demokrację życia i pełną jawność mechanizmów społecznych.

Nasza konstytucja — podkreślił prof. dr Jabłoński — musi też w stopniu znacznie większym niż czyni to jej tekst obecny wskazywać poprzez normę prawną podstawowe, kierunkowe zasady polityki wewnętrznej i zagranicznej, wytyczać drogę dalszego, socjalistycznego rozwoju kraju. A więc nie może mieć charakteru biernego, odtwarzającego tylko chwilę bieżącą. Winna mieć charakter twórczy, wyrażający dynamikę dokonujących się przemian.

Z innych spraw, które czekają nowy Sejm, to opracowanie doniosłej dla rozwoju kultury narodowej — ustawy o ustroju oświaty.

Plenarna sesja OK FJN oficjalnie rozpoczęła kampanię wyborczą. Do 19 marca czasu pozostało niewiele. W chwili, gdy oddajemy ten numer „Kamień” do druku odbywają się konsultacje mające na celu przygotowanie list kandydatów FJN na posłów nowego Sejmu.

OLEKSANDR (Aleksander)
Bohaczk napisał wiersz „Kłytce spalona — piśnia” (Spalona wota piśnia), umieszczony między innymi wierszami o tematyce antywojennej w jego zbiorce o krótkim i wymownym tytule: „Nie!”. Wiersz mówi o tragedii dziecka odcieranego od rodziców i przebywającego w obozie na Majdanku. Chłopiec, jak pisze autor wiersza, „śpiewa piśnią prostą, wprost z serca płynącą”, chce wrócić do matki, ale „nie puszczają druty kolezaste”. Wiersz ma refren wyjątkowo wzruszający, jest bowiem wołaniem dziecka:
Mamo,
czy ty mnie styszysz, mamusiu?
Mamo!
Tak bardzo do ciebie chcę
Mamo!
Wyrwam się do ciebie, mamo!
Ale nie puszczają druty kolezaste!!!

Wiersz ma już formę muzyczną i jest obecnie na Ukrainie znaną i masowo śpiewaną piśnią. Radio w Łucku przysłało taśmę z nagraniem tej piśni w wykonaniu jednego z uczniów miejscowej szkoły muzycznej do Lublina, posłała ją Muzeum na Majdanku.

Chcę zwrócić uwagę na autora słów tego wiersza — piśni, współczesnego poety ukraińskiego — O Aleksandra Bohaczuka. Znamy go częściowo ze spot-

kań w ramach przygranicznej wymiany lubelsko-łuckiej, był już bowiem w Lublinie kilka razy. Po zwiedzeniu Muzeum na Majdanku, po wstąpieniu, jaki przeżył rozmawiając na losom ludzi umieszczonych przez hitlerowców w

Bohaczk urodził się we wsi Sokół na Wołyniu w roku 1934. Ukończył wyższą szkołę pedagogiczną, pracuje jako dziennikarz w Łucku, jest również znany już na Ukrainie poeci. Znamy trzy zbiorki jego poezji: „Niezapomniane”, „Wierszowny gramot” i „Nie!”.

Szerokiemu odbiorcy na Ukrainie znany jest jako autor licznych piśni, śpiewanych w rzadko, które następnie stały się popularne, np. „Idę po rosie”, „Zakwitły czereśnie”, „Zaplewał mi, mamo”, „Wota piśnią spalona”. Wersy one na state do historii współczesnej masowej piśni ukraińskiej. Piśń ze słowami O. Bohaczuka „Trojandy” (Róże) śpiewana jest również poza granicami Republiki Ukrainy: w Rosji śpiewa się ją zwykle po ukraińsku, ale w Kirgizji tekst został przetłumaczony. Zachwyliła ta piśń również uczestników IV Festiwalu Piśni Ukraińskiej, który odbył się w Warszawie w roku ubiegłym.

Bohaczk jest również autorem kilku utworów scenicznych, które wystawiane były na Ukrainie. Jak dotychczas, znamy go tylko z sympatycznych spotkań w ramach autoubudów przyjaciół, cenimy głęboko ludzki humanizm jego wierszy. Może któryś z naszych teatrów zechce zaprezentować jedną z jego sztuk?

Uwaga, uwaga, tu mówi Majdanek. Rozgłośnia losów ukradzionych...

Powołanie czy ucieczka?

Krzysztof Lech Rutkowski

CORAZ liczniejsze głosy w prasie i w dyskusjach przy kawie o młodej kadry naukowej — wyższych uczelni, zwłaszcza technicznych, zachęciły do przeanalizowania, z punktu widzenia asystenta, przyczyn, które skłaniają do pozostania w uczelniach, a jakie kierują tymi, którzy po odbyciu stażu asystenckiego odchodzą.

Sytuacja materialna asystentów — tak dużo mówi się o niej w dyskusjach — jest bardzo ważnym czynnikiem, ale nie jedynym, który determinuje wybór zawodu naukowca, lub od niego odstrasza. Ogromną rolę odgrywa zamilowanie do wykonywania pracy, predyspozycje psychiczne, zachowanie pewnej niezależności, świadomość prowadzenia pracy badawczej itp. Praca w uczelni umożliwia wybór tematu, odpowiadającego danemu pracownikowi, a jednocześnie potrzebnego społeczeństwu, następnie zaś kontynuowanie i ciągłe pogłębianie tego tematu do końca życia poprzez pracę doktorską i habilitacyjną własną oraz promotorstwo prac doktorskich młodszych kolegów. Bardzo ważnym czynnikiem emocjonalnym — a tego aspektu lekceważyć nie wolno — jest świadomość, iż każdy pracownik naukowy jest potencjalnym „ojcem” czegoś nowego w danej specjalności, czegoś, co może przynieść wielkie korzyści całemu środowisku, społeczeństwu, a czasem nawet ludzkości.

a nie jako bodziec do pogłębiania wiedzy. Celem stało się więc utrzymanie średniej wyników studiów na określonym poziomie, a nie zdobycie rzetelnej wiedzy. Nie więc dziwnego, że tak myślący absolwenci w zasadzie nie wytrzymują próby stażu asystenckiego i odchodzą.

Innych odstraszają warunki materialne, które stały się zaburzeniem. Młody człowiek może zgodzić się na przedłużenie warunków studenckich na rok czy dwa, ale nie dłużej, gdyż po prostu chce i ma prawo rozpocząć normalne życie. Kończąc studia w wieku 25 lat, zaczyna myśleć o założeniu rodziny. Brak mieszkania, a często nawet perspektywy jego otrzymania w stosunkowo krótkim czasie, brak mebli i pewnej rezerwy finansowej uniemożliwiają mu start życiowy. A jest to równocześnie okres życiowy, w którym rodzi się najwięcej pomysłów, który może przynieść największe efekty po dokładnym opracowaniu i zrealizowaniu tych pomysłów. Hotele asystenckie czy inne formy mieszkań zastępczych nie zdają egzaminu. Założone w takich warunkach rodziny mają trudniejszy start, a często ulegają nawet swoistym skrzywieniom, będącym wynikiem hotelowego trybu życia. W takich warunkach trudniej wytworzyć ciepło domu rodzinnego, a dzieci, które przychodzą na świat, także wzrastają w nienormalnych warunkach.

Porównując zarobki kolegów, którzy razem z mną ukończyli studia, oraz ich tygodniowy czas pracy — można dojść do wniosku, że płaca w okresie stażu w uczelni jest najniższa (1050 zł) w porównaniu z innymi instytucjami (1400—1800), przy najkrótszym czasie pracy — 36 godzin tygodniowo, pod-

czas gdy gdzie indziej praca trwa 42—46 godzin tygodniowo. Instytucje przemysłowe i zakłady produkcyjne dysponują premią miesięczną w wysokości do 30%, która otrzymuje się za wykonanie zadań, ale w ramach ustawowych godzin pracy. Uczelnia natomiast umożliwia wykonywanie prac zleconych do wysokości 70% pensji zasadniczej, lecz tylko w czasie poza ustawowymi godzinami pracy. Daje to dodatkowy zarobek miesięczny w wysokości 700 zł, na który trzeba pracować dodatkowo, tak że łączny czas pracy wzrasta do 45 godzin tygodniowo. Przy zapewnieniu więc stażysty prac zleconych, otrzymuje on płacę analogiczną jak w innych instytucjach za taki sam czas pracy. Dodatkowymi świadczeniami uczelni są: bezpłatne mieszkanie w domu akademickim i bon stołówekowy (całodzienne wyżywienie za 8,80 zł). Efektowny zarobek stażysty w uczelni jest więc wyższy niż w innych instytucjach. Prócz tego jest możliwość jeszcze jednego dodatkowego zarobku np. w studenckiej spółdzielni pracy, który jednak w ciągu roku nie może przekroczyć sumy 7500 zł, co daje miesięcznie około 630 zł, na co trzeba poświęcić tygodniowo około 10 godzin pracy dodatkowej.

Po rocznym stażu zarobek w uczelni wzrasta do 1950 zł miesięcznie i limit prac zleconych do 1050 zł. Pozostałe źródła dochodu są takie same, lecz po rocznym stażu nie przysługują już bezpłatne mieszkanie i bon stołówekowy. Zmniejsza to realne zarobki: mieszkanie w domu asystenta, o ile są w nim wolne miejsca, kosztuje 120 zł miesięcznie, obiad w stołówce pracowniczej 11,00 zł. Czas pracy na maksymalny zarobek około 3500 zł miesięcznie wynosi około 60 godzin tygodniowo. W następnych latach zarobek wzrasta corocznie o około 200 zł miesięcznie przy takim samym czasie pracy. W innych instytucjach po stażu płaca wynosi miesięcznie około 2500 zł z premią 20—30% za 42 lub 46 godzin pracy tygodniowo. W instytucjach uczelnianych, nie zapewniających pracownikom prac zleconych, płaca miesięczna wynosi po stażu 1950 zł za 36 godzin tygodniowo. Stąd wniosek, że w uczelni zarobki są zbliżone do płac w innych gałęziach gospodarki narodowej, ale istnieje możliwość zarobienia dodatkowych pieniędzy, lecz tylko kosztem wolnego czasu.

Powiązanie prac zleconych wykonywanych w zakładzie doświadczalnym uczelni z pracą naukową, zapewniając pracę nad jednym tematem, umożliwia pracę typowo inżynierską, konstrukcyjną, która jest praktycznym sprawdzianem koncepcji naukowych. Terminowość i bodziec finansowy prac zleconych przyspieszają badania naukowe, a doświadczenie zdobyte przy tych pracach może być przekazane studentom, którzy mają być inżynierami.

Każdy pracownik naukowo-dydaktyczny uczelni jest zobowiązany do: 210 godzin pracy dydaktycznej rocznie, zrobienia pracy doktorskiej w ciągu maksimum 8 lat i wykonywania prac administracyjnych w wymiarze około 6 godzin tygodniowo. Czas pracy w uczelni dzieli się na pracę naukową, dydaktyczną i administracyjną. W żadnej innej gałęzi gospodarki nie występuje takie zróżnicowanie prac. Ponadto, aby sprostać wymaganiom, często trzeba poświęcać część wolnego czasu na pracę naukową. Podstawowym obowiązkiem jest działalność dydaktyczna, ale wartość i postawę pracownika ocenia się na podstawie dydaktycznych prac naukowych. Po dźnięciu pokutuje w uczelni przekonanie, że zrobienie pracy doktorskiej jest prywatnym interesem asystenta, a więc powinien poświęcać na ten cel czas poza pracą w uczelni.

W procesie produkcyjnym inżynier kontaktuje się na co dzień z robotnikami, którymi kieruje, których uczy i od których egzekwuje pracę. W uczelni asystent w codziennym kontakcie ze studentami wykonuje podobną pracę. I w jednym i w drugim przypadku tylko ciągłe dokształcanie się i doskonalenie metod oddziaływania zapewnia zdobyć, a następnie zachowanie autorytetu i roli kierowniczej. Zastępowanie rzetelnej wiedzy i opartych na zdrowych zasadach stosunków, np. zastraszaniem — doprowadza wcześniej czy później do sytuacji konfliktowych. Asystent pracuje w zespole o wiele bardziej zróżnicowanym niż inżynier w przemyśle. Rozpiętość poziomu naukowego i kulturalnego od profesora do pracowników warsztatów zmusza do większej elastyczności w działaniu i sposobie bycia.

Moim zdaniem rozprawy pracy np. w Polskiej Akademii Nauk nie daje automatycznie rangi naukowo-

ca. Podobnie i w innych dziedzinach. Każdy pracownik musi indywidualnie pracować nad uzyskaniem autorytetu w swoim otoczeniu. Opieranie się na autorytecie, wypracowanym przez poprzedników, jest bardzo zawodne i doprowadza do upadku własnego autorytetu niefortunnego następcy. Jeden hydraulik, który źle naprawił kran, wywarza w społeczeństwie wrażenie, jak gdyby wszystkie hydrauliki były partaczami. Jeden urzędnik-lapówkarz wywarza opinię: urzędnicy to złodzieje i lapówkarze. Jeden zły asystent powoduje, że mówi się o asystentach jako o ludziach niedouczonej, dla których uczelnia jest cichym portem, gdzie mogą za skromne pieniądze spokojnie trwać, a z chwiłą zrobienia doktoratu stać się adiunktami, zasilanymi doktoratem niedouczeni i złą pracą.

Praca asystenta pod względem zarobków i czasu pracy jest podobna do innych zajęć w gospodarce narodowej. Wymaga jednak większego poświęcenia swego wolnego czasu i większego osobistego zaangażowania niż inne zawody, albowiem asystent ma do czynienia z najwartościowszym materiałem — młodym człowiekiem, którego dopiero ma ukształtować. Dobór kandydatów do pracy w uczelni jest na pewno daleki od idealu, ale w naszych warunkach nie widzę możliwości zmiany go. Absolwent, który zostaje asystentem z myślą o łatwej pracy, szybko się zawiedzie. Praca jest przyjemna, ale wymaga ciągłej samokontroli i samokształcenia. Wymaga też godzenia się z faktem, że poza ustalonym czasem pracy należy stale o niej myśleć, gdyż coraz wyższym wymaganiom stawianym asystentem można sprostać tylko wyteżoną pracą, od której nie ma odpoczynku nawet w czasie urlopu. Dobrymi asystentami mogą zostać tylko ci, którzy mają predyspozycje do pracy naukowej, dydaktycznej i inżynierskiej. Odpowiedź na pytanie, które samo ciśnie się na usta: czy w pracy asystenta korzyści pozamaterialne są większe od materialnych — jasno określa, kto zostaje asystentem. Na pewno bowiem nikt nie zostaje asystentem z chęci zysku; ale jest również faktem, że warunki materialne zmuszają wielu absolwentów do rezygnacji z pracy w uczelni.

PARTYZANCI

Dokończenie ze str. 1

rzadko natomiast próbuje się faktycznie dotknąć złożonej przygody ludzkiej, którą przeżywał i rozgrywał nadal to pokolenie.

„Pieśnią rozwiąże wszystko, panie redaktorze, przyjdzie pan, opiewamy i dobrze będzie, my się tu wspólnie pomalutku dogadamy” — powiedziano mi, kiedy usiłowałem musnąć spraw trudniejszych. Właśnie. Jakież ambitniejsze przedsięwzięcie dziennikarskie byłoby wykonalne, gdybym jeździł do Rzeszycy wielokrotnie, rozmawiał nieraz, po prostu chyba pożył wśród tych ludzi. Ale kogo dziś z mego pokolenia stać na taką dziennikarską, kiedy się myśli o ratach za pracę i rachunku za telefon? Więc co ja mogę? Chyba tylko zrelacjonować, co oni mi jednorazowo opowiedzieli i jak to odebrałem.

Padł tu termin „generacja”, lecz gdy się mówi o tej walce i tej rewolucji, wówczas — mówi się o dwu przynajmniej pokoleniach, które równocześnie przystąpiły do PPR: o byłych członkach rozwiązanej w 1938 roku KPP, ludziach w okresie okupacji już dojrzałych i ukształtowanych ideowo, oraz o młodszej okupacyjnej z roczników 20-tych, u której pod cienką warstwą dyalektyki krył się nie tyle może — jak dawniej u Broniewskiego — obłoczek poezji. Ile chęć bicia Niemców. A przystąpienie do PPR oznaczało wówczas walkę z bronią w ręku w grupach i oddziałach GL.

Na to pokolenie rozwarstwienie natknąłem się w Rzeszycy. Usiedli przede mną w trzech dswy w średnim wieku, jeden starszy, i ten zaczął mówić. Nazywa się Władysław Babicz („Osa”), urodzony w 1902 roku, od najmłodszych lat w Rzeszycy. W pierwszej tu komórce KPP był „Ali”-Szymański, Stachnik Stanisław i on. Komórki KPP w ogóle były trójosobowe tylko, dla większej konspiracji (ta uwaga wyłącznie do dziennikarza skierowana, który wyraźnie się nie orientuje). Nie było cudów, jak wszędzie. Agitowali, manifestowali, pochody 1-majowe, na rysował afisze i rozlepił. Gdzie? A małowal ukryty w wozie, rozlepił przy kościele, ksiądz Barszczewski goił, policja goiła. Był też kolporterskim bibuły komunistycznej. Zbił zboże dla komunistów w wiezieniu siedzących. Dokształcał się. Szymański chodził słuchał radia do Kohlera Rudolfa, Niemca oze-

nionego z Polką, sympatyka. Tego Niemca po wyzwoleniu chcieli zrobić, obronili, bo przecie swój człowiek.

Jeszcze przed wojną rozwiązano KPP, ale doły partyjne czuły się na swoich stanowiskach cały czas, więc gdy w 1942 powstała komórka PPR, wstąpił jako jeden z pierwszych. Trzeba było organizować walkę zbrojną we własnym zakresie, broń, ludzi, grupy bojowe. Spełniał te funkcje organizacyjne. Był sekretarzem komórki w Rzeszycy, powiatowym komitetu. Po wyzwoleniu w 1945 jeździł w Warszawskie władze ludową organizować, komitety PPR, posterunki MO. Potem szkoła partyjna w Łodzi, trzy miesiące, i do Lublina — do VII pułku piechoty, walczył z podrygami sanacyjnymi. Jeździł z pułkiem, prowadził pracę polityczną na temat: co daje władza ludowa. Uspokoilo się trochę, organizował spółdzielnie produkcyjne „Samopomoc Chłopską”, już nie był w wojsku. Cały czas w PZPR. „Jak Gomulka wszedł, to poniekąd myśleli, że się ustrój zmieni... Różni wtedy gadali, trochę zabrakło realizmu, gadania za wiele, a przecież Partia to nie są wszyscy ludzie”. Zbilansować własne dzieje? „Takie całe moje życie było, pod abstrakcją. Na gospodarce za bardzo nie było czasu, żona się męczyła, teraz gospodarzy córka, która wyszła za mąż. W domu nie było czasu siedzieć, kogo mieli brać jak nie nas, ciągle praca partyjna. Taki dęty jak deska to jeszcze nie jestem, ale teraz człowiek robi się coraz bardziej nieudolny, człowiek staje się niepotrzebny, wychodzi z rejestru. A po awansie — co ja tam mogę siebie oceniać, najmniej, ocena jest w terenie, reszta nie zależy od nas”. Obecnie Władysław Babicz ma rentę partyjną.

Mieczysław Kania (rocznik 1922) i Stanisław Kosikowski (1920) są przyjaciółmi, obaj pochodzą z Rzeszycy, obaj w marcu 1942 roku wstąpili do miejscowej komórki PPR, należeli do rzeszyckiej grupy wypadowej i wspólnie brali udział w kilku akcjach zbrojnych pod dowództwem pochodzącego z tych okolic Wacława Czystewskiego — „Ima” (rocznik 1917), obecnie generała WP. Kania jest żywą kroniką rzeszyckich komunistów, ma doskonałą pamięć, zna wiele faktów i szczegółów. Mówi za siebie i za Kosikowskiego, który raczej milkliwy, a szkoda, bo zna z własnych doświadczeń działalność jednej ze specjalnych grup GL o

charakterze kontrwywiadowczym, istniejącej w latach 1944—1945.

Po wyzwoleniu Kania wstępuje do MO w Kraśniku, gdzie wówczas pełni również służbę inny krajan z Rzeszycy — Jan Gozdur, dziś wyższy oficer KW MO w Lublinie. Wkrótce za namową „Ima” — Czystewskiego przechodzi Kania do wojska (walczył z oddziałami „Zapory”), w 1947 roku zostaje zdemobilizowany. Następnie organizuje spółdzielczość „Samopomoc Chłopskiej” i spółdzielczość produkcyjną („z tym bywały różne kłopoty, kiedy na przykład żona pewnego działacza PPR położyła się pod traktor, żeby nie dopuścić do zaozania między na gruntach spółdzielczych”). Był sekretarzem POP w Rzeszycy, a w latach 1955—1961 przewodniczącym GRN. Z koleż znów pracował w spółdzielczości. Teraz trochę gospodarzy do spółki z siostrą.

Stanisław Kosikowski otrzymał ziemię z reformy rolnej. Od wyzwolenia działa czynnie w ORM, o szczególnie w pierwszych latach było niebezpieczne dla życia i zdrowia. Teraz — renta partyjna. Ziemię sprzedał, wybudował dom.

Taki był plon moich wstępnych rozmów w Rzeszycy, jakby oficjalnych. W następnej jednak i „pieśnią” była. Wprawdzie nie przyjechałem w niedzielę, lecz zaśpiewano mi tak:

Na to Pan Bóg dał niedzielę,
Na to tygodniowym trudzie,
Narobiwszy się do woli,
Napili się wódki ludzie...

A potem były wspominki, przede wszystkim o tej jednej, najważniejszej sprawie, najważniejszej do dziś: jak zginął „Ali”-Szymański. Bo istotnie zginął w dość tajemniczych okolicznościach, niemal w przeddzień wyzwolenia, podczas trzydniowych potyczek większego zgrupowania AL z Niemcami w góscierardowskich lasach (26—28

VII 1944 roku). W walkach tych uczestniczyli także Kania i Kosikowski, który został ranny odłamkiem pocisku czołgu. Dowodził między innymi Czystewski. W jakiejś chwili Szymański został w tyle za wycofującym się pod ogniem nieprzyjaciela oddziałem partyzanckim. Tak o tym pisze inny świadek zdarzeń: „W tym momencie odłączył się od nas „Ali”, wódz partyzantów Lubelszczyzny, wielki ideowiec i niezłomny działacz. Odłączył od nas i już więcej nie wrócił” (Wiktor Strubiński „Poleszuk”). Kiedy tylko uciechła potyczka, powrócił partyzanci — w to miejsce, gdzie został Szymański. „Przeczysywalimy las w dwaście koni, że trzy razy, cicheńko było” — powiada. Dopiero po kilku dniach znaleziono w tym samym miejscu zwłoki „Alego” oraz Józefa Draga — „Jaskółki”. Ta sprawa do dziś dla moich rozmówców żywota. Bliski krewny „Alego” — Stanisław Szymański („Szczypiel”), były zastępca dowódcy rzeszyckiej placówki GL i AL, organizator opieki nad rannymi — tak mi powiedział: „Ja już się domyślałem, kto zabił stryjka, ja ich wysłedzę”. Partyzanci nadal rozgrywają swoje bitwy.

Rozmawiamy o innych sprawach okupacyjnych, czasem dla mnie mało zrozumiałych, jak ta, że Niemcy z posterunku na stacji kolejowej Rzeszycy niejednokrotnie woleli „nie domyślać się”, że w samej miejscowości jest siedlisko i zaplecze partyzanckie. Ball się ryzyka walki. Więc i tak na tej wojnie bywało. Pytam o sprawy dzisiejsze. „Ano jakos tam żyjemy w tym terenie, jeszcze mi grozi awans na 2500 zł w „Radzie Gromadzkiej” — powiada Tadeusz Kozieł, od 1945 roku członek partii, działacz miejscowego Kółka Rolniczego, aktywista PZPR.

Z Janem Gozdurem rozmawiam w jego gabinecie na terenie KW MO w Lublinie. Urodzony w roku 1925

w Rzeszycy, do PPR wstępuje w lutym 1944 roku. Początkowo znalazł się na rzeszyckiej placówce, w lipcu wraz z innymi zdąży na sławetną ostatnią bitwę w lasach góscierardowskich. I jest też chyba ostatnim człowiekiem, który widział „Alego” żywym. Szymański, Gozdur, Drag i jakiś partyzant z Krasnegostawu znaleźli się w pewnym momencie poza głównymi siłami wycofującego się i kluczającego zgrupowania AL. Niebawem, chcąc przedrzeć się do swoich, wpadają pod ogień ciężkiej broni maszynowej Niemców i zostają rozdzieleni w momencie „skoku” w stronę widocznego z daleka oddziału AL. Szymański z Dragiem cofają się do lasu. Gozdur z czwartym partyzantem przebijają się dalej, aż do połączenia z większym oddziałem zgrupowania, które następnie zostaje rozczłonkowane. Wolność zastaje ich w Trzydniku. O śmierci „Alego” już wiedzą. „To jest dziwna sprawa, zwłoki Szymańskiego i Draga były przykryte gałęziami. Niemcy nie mieli zwyczaju zabezpieczać w ten sposób ciała swoich ofiar”.

Zaraz po wyzwoleniu Gozdur przechodzi do pracy w MO. Jest jednym z organizatorów Komendy Powiatowej w Kraśniku i posterunku na terenie powiatu. Sześć tygodni uczy się w lubelskiej szkole oficerów MO w Lublinie, następnie musi powrócić do Kraśnika, gdzie zostaje dowódcą plutonu operacyjnego Komendy Powiatowej. Na tym stanowisku toczy kilkadziesiąt walk z oddziałami kontrwielocynowego podziemia. „Ten pierwszy zorganizowany pluton operacyjny liczył 45 osób, przeżyło tylko sześciu: Gierczak, Jaskot, Pietura, Działosz, Machulak... Jeśli tu w ogóle można wybierać, to najbardziej mnie zabolała śmierć najbliższego kolegi, Edwarda Grzesika, ale to dłuższa historia... Ja miałem jakoś szczęście... Nie, nie robiłem notatek z tamtego dramatycznego okresu, a szkoda. Nie liczyło się, że człowiek przeżyje, wie pan...”

„Ali”-Szymański, Babicz, Kania, Kosikowski, Czystewski, Gozdur... Przedstawiciele pięknej generacji pierwszych PPR-owców, której przy szło wybierać swój ludzki los w skomplikowanym czasie, generacji w sposób szczególny doświadczanej, częstokroć w sposób wielostronnie okrutny. Wspólnota ich losu i romantycizm ich dalszych drog. O tym wszystkim jakos się wie, ale to wszystko trzeba by jeszcze głęboko zrozumieć. Innych wniosków nie będzie w tym artykule. A i tak nie jestem pewien, czy sformułowany wniosek nie będzie wobec mojego pokolenia bezsilny.

Maciej Podgóski

Kamena str. 3

Funkcjonariusze KP MO w Kraśniku (archiwalne zdjęcie z 1945 r.)

Patriotyczny rewolucyjny ludzki

Zygmunt Mikulski

W ŚROD poetów startujących u progu drugiej niepodległości był indywidualnością. Przede wszystkim dlatego, że w przeciwieństwie do większości ówczesnego życia literackiego nie wyrósł z żadnym prądem, ani kierunkiem. Nie należał do żadnej grupy. Wspólne wydanie ze Stanisławem Ryszardem Stande i Witoldem Wandurskim tomiku „Trzy salwy” nie podważa słuszności tego stwierdzenia, ponieważ była to raczej manifestacja polityczna, niż artystyczna, w dodatku — Broniewskiego nie nowicjusza, ale już autora tomu „Wiatraki”.

Nie rozpoczął też Broniewski od tej próby wejścia na literacki rynek, jaka zwykle polega na zaprezentowaniu programu nowatorskiej poetyki. Raczej na odwrót: stylizacja strona jego poezji już od początku wykazywała wyraźny związek z tradycją — przede wszystkim romantyczną — więc jej atrakcyjność nie mogła polegać na oryginalności formalnej. Była jednak niewątpliwa. Broniewski zawsze miał czytelników.

Jak to się stało? Jak się to stało wobec istnienia nader ruchliwej organizacyjnie i polemicznie awangardy krakowskiej, spoiściego i obfitego w talenty warszawskiego „Skamandra”, całej konstelacji grup poetyckich, która tworząc literacki rynek, z natury rzeczy — a przecież często zasłużenie — skupiała na sobie uwagę? Władysław Broniewski był poetą prawdziwym, to znaczy umiającym trafić do wrażliwości odbiorczej i człowiekiem prawdziwym, to znaczy przekonującym słuszością zajmowanej postawy. Mówił do robotników, do prostych ludzi, ich językiem, w ich imieniu i w ich sprawie. Był poetą proletariackim.

Nie, nie od razu. Urodzony 17 XII 1897, już w roku 1915, to znaczy w wieku 17 lat, Broniewski wraz z kilkoma kolegami wstępuje w szeregi legionów Piłsudskiego i wkrótce w czwartym pułku przechodzi chrzest bojowy w bitwie pod Jastkowem (co jest jedną z okoliczności wiążących postać poety z Lubelszczyzną; sam Broniewski wielokrotnie o tej bitwie wspominał). Nie znaczy to jednak, że kiedy li-

nia polityczna Piłsudskiego odchodzi od wyznawanych początkowo haseł socjalistycznych, Broniewski pozostaje przy orientacji biorącej coraz wyraźniejszy kurs faszystowski. Jest kapitanem, jest zasłużonym legionistą (Virtuti Militari, czterokrotnie Krzyż Walecznych), mógłby spokojnie korzystać z zasług oddanych nowo narodzonej państwowości polskiej. Nie uczynił tego, kiedy okazało się, że państwowa rzeczywistość polityczna coraz jednoznaczniej pokrywa się z reżimem faszystowskim. Przeszedł do opozycji. W latach 1927—1928 pracował w redakcji komunistycznego miesięcznika społeczno-kulturalnego „Dziwnia”, następnie w jego kontynuacji ukazującej się w latach 1929—1931 pod tytułem „Miesięcznik Literacki”. Rezultat — Więzienie Centralne w Warszawie.

Niektóre doznane tam przeżycia znalazły później wyraz w tak typowych dla Broniewskiego wierszach jak „Księżyc z ulicy Pawiej”, „Do towarzysza więźnia” i „Magnitogorsk czyli rozmowa z Janem” (Dodajmy, że w tym ostatnim jest mowa o Janie Hemplu, a więc jeden jeszcze przyczynek do przesłędzenia lubelskich tropów w życiu i twórczości poety).

„Dymy nad miastem” wyszły w roku 1927, „Komuna Paryska” w roku 1929, „Troska i pieśń” w roku 1932, „Krzyk ostateczny” na rok przed wojną. Wraz z ogłoszeniem mobilizacji kapitan Władysław Broniewski na próżno zabiegał o przyjęcie do wojska. Wsiadł na rower i udał się na wschód. Zatrzymał się we Lwowie, gdzie w styczniu 1940 roku na skutek fałszywego oskarżenia został aresztowany. Zwolniony w Alma — Ata, w sierpniu 1941 roku wstąpił do wojska gen. Andersa. Rozstał się z nim na początku 1943 roku w Jerozolimie, przyjmując pracę redaktora technicznego wychodzącego tam pisma „W drodze”. Tam też wyszły „Bagnet na broń”, „Drzewo rozpaczające”.

Po powrocie do kraju Broniewski całym swoim poetyckim doświadczeniem stanął przy sprawie odbudowy ze zniszczeń wojennych, a psychiki polskiej — z uprzedzeń pod adresem postępowych idei proletariackich. Wierszem już nie

Oto co pisze współczesny polski poeta:
Tylko spokojnie oddychać pod
zwalającym się na nas śmieciem

Broniewski pisał:
Mnie ta ziemia od innych droższa,
ani chcę, ani umiem stąd odejść,
tutaj Wisła, wiatrami Mazowsza
przeszumiało mi dzieciństwo i
młodość

W moim oknie pole i topole,
i ja wiem, że to właśnie — Polska.
Stąd i radość, i chmura na czole,
tutaj słowa mnie zbroją jak
wojsko.

I pomyśleć, skąd tyle pogardy do polskości u współczesnego poety polskiego. Ze naród biedny? że niemądry? Broniewski był obdarzony bardzo dużą świadomością narodową. Ale każdy narodowy błąd, każda jego ułomność przeżywał jako swój osobisty niemal dramat. Powiedział dużo gorzkich słów w „Szpiclu” czy w „Balladzie o Placu Teatralnym”. Ale mówił to bez cienia pogardy

2.
Broniewski — poeta proletariacki. Gniewny, poruszony buntem i rewolucyjną pasją. Jednocześnie współczujący nędzy i rozpaczliwej ludzkiej. Chwilami, czytając jego osobiste liryki, wydaje się, że chodził po krawędzi ostatecznej depresji. Ale stąd napisał kilka wierszy przejmujących: „Ulica Miła”, „Księżyc ulicy Pawiej”, „Łódź”. Potrafił się utożsamiać z najbardziej ciemnym obrazem ludzkiego życia. Ale był poetą i poprzez poezję przewycięzał rozpacz. Kończąc strofka wiersza „Zywioly” mówi o mądrym determinizmie:

Trzeba iść i budować miasta,
bo dla żywych odwrotu nie ma,
bo za nami śmiercią narasta
wieczność ślepa, noc głuchościami.
W innym wierszu, „Grób Tamerlana”, ponad zniszczeniem i klęskami, które nawiedzają człowieka i narody, dostrzega jaśniejącą nadzieję wciąż odradzającego się życia:

Groby murzeją. Głina religie,
Armie topnieją. Mra ich wznowienie.

tylko walczył, wniósł przysługującą radość z odzyskanej niepodległości, z postępów w pracy pokojowej, w umocnieniu idei międzynarodowej. Zachęcał do wysiłków. Jakkolwiek nie zawsze trafnie oceniał zjawiska polityczne pierwszych lat po drugiej wojnie światowej — a przede wszystkim te, które z perspektywy czasu obejmujemy mianem błędów i wypaczeń — to jednak intencja rewolucyjnego poety Władysława Broniewskiego zawsze była czysta i poddająca przekonawajacy ton jego poezji. Jak Majakowski — do partii nie należał, ale również jak on mógł wskazać na tomy swoich rewolucyjnych ksiązek wystarczająco dokumentujących nie organizacyjną, ale psychiczną przynależność do idei proletariackiej.

Oddzielnie wyszły z druku: „Nadzieja” oraz „Anka” (imię tragicznie zmarłej córki), a pod koniec życia opublikowane zostały dwa poematy obrazujące piękno ojczyzny pejzażu i związaną z nim Poety: „Mazowsze” i „Wisła”, opublikowane we fragmentach. Oba ostatnich dzieł Broniewski nigdy nie ujął w kompozytywnie zamkniętą całość. Zmarł dnia 10 lutego 1962 r.

Myliliby się jednak, kto by w Broniewskim widział jedynie Tyrteusza polskiej rewolucji, a w jego poezji wyłącznie instrument mobilizacji do walki. Jakkolwiek określenie to jest trafne i nie zatracając aktualności, trzeba ujrzeć również inne cechy tej poezji, wzbogacające ją o cały obszar doznania ludzkiego, o pełnię człowieczeństwa.

Broniewski umiał marzyć, tęsknić, a nawet wątpić, miał serdeczne wyczucie dla szczegółów towarzyszących codziennemu ludzkemu życiu i dał przejmujące tego świadectwo w szeregu pięknych liryków. Znane są jego drobne poetyckie, osobiste, intymne, jakże pięknie przeblaskujące w tkaninie tej patriotycznej i obywatelskiej mowy. Zachwycamy się utworami takimi, jak „Wiersze o wczesnej wiosnie pisane późną jesienią”, „Bar pod zdechłym Psem”, czy „Po co żyjemy”. Niektóre z tych strof znalazły się w języku potocznym w charakterze trafnych i sugestywnych aforyzmów. Dzięki tym właściwościom autor zawsze znajduje drogę do czytelnika. Nawet współczesnego. Ten twórca z ubiegłowiecznej właściwie formacji kulturalnej i artystycznej znajduje rezonans czytelnicy dzisiaj, kiedy o aktualność poety zdawałby się świadczyć jego związek z awangardowym i nowoczesnym rodzajem poetyki. Kiedy nieczytelnymi i nie czytanymi zostało wielu autorów przez nowocześniejszy kształt swego dzieła mającego większą szansę pokonania bariery lat, Broniewski pozostał. Pozostał nie eksperymentem formalnym, nie nowatorskim stylistycznie zafrapowaniem, jakże często pozornym i powierzchownym. Pozostał rzetelnością swej poezji, serdecznym związkiem z ludźmi swojej ojczyzny — walczącymi i tęskniącymi. Pozostał rewolucyjny i patriotyczny, głęboko ludzki poeta.

Krew do podglebia wsiąka i
stygnie —
drzewo porasta nowym listowiem!

3.

Był romantykiem. Ale nie tylko z usposobienia. Uważał, i na pewno słusznie, że Romantyzm przyniósł nam najwyższe wzloty poetyckie. Był poetą obdarzonym czułym instynktem społecznym i w Romantyzmie widział najwyższe tego instynktu spełnienia. Szukał w poetyckiej przeszłości narodowych wątków. Twórco je przetwarzał. Polemizował — jak na przykład w „Balladzie o Placu Teatralnym”. W chwilach narodowej klęski pisał nowy „Grób Agamemnona” („Grób Tamerlana”). Na obczyźnie, zapatrzony w Morze Śródziemne, przetworzył inny wiersz Słowackiego:

Szumi Morze Śródziemne
pod lewantińskim brzegiem
Płyną okręty wojenne
długim szeregiem.

Tonacja cyklu „Pejzaży palestyńskich” przypomina nam poprzez egzotykę i nostalgię za krajem „Sonety Krymskie” Mickiewicza. Tak więc Broniewski był romantykiem nie tylko z usposobienia. Ale z rzeczywistego poczucia wielkości poezji polskiego Romantyzmu.

4.

Broniewski był poetą ciągłego niepokoju i wrażliwego sumienia. W ostatnich latach życia bardzo bolał nad tym, że młodzi, kuszeni poetyckimi nowinkami, odwrócili się od niego. Bolał pół — milcząc. Był za dumny, aby się zwierzać głośno. Pamiętam jego triumfujący pogrzeb. Gdy wracaliśmy z cmentarza, poeci, prawie jego rówieśnicy, nie mogli mu jeszcze wybaczyć jednego poematu z 1953 roku. I wtedy przypominała mi się jego chyba jedna z najbardziej zdumiewających strof:

Mówiłem sercu: „Milcz o miłości,
serce uparte i dumne” —
a miłość rosła we mnie jak
kościół,
dokąd wleciono już trumnę.

Zbigniew Jerzyna



Władysław Broniewski

Ja i wiersze

Myślicie, że pisać wiersze to tak, jak w wojsku na zbiorce: „odlicz!” — a potem sterczy na papierze czwórka po czwórce.

Ja bym chętnie nie pisał, ale muszę: czort jakiś mnie rozkołysał, wlaź w duszę,

czort jakiś szepcze mi: „Napisz na przekór piekłu i niebu” — i nie pomoże papież, i nie pomoże Bezebub.

Więc piszę, kosmiczny turysta, ilustrator chwil, których nie ma, obłądny „pamiętnik artysty”, zagryzłony poemat.

We łbie: zamglony Londyn, jakieś mętne miłości... Ładnie ja z tym wyglądam, można mi pozazdrościć.

We łbie są także inne rzeczy, których się boję, od których sercu zimno, ale są moje:

troska, troska okrutna o świat plugawy i nieskończenie smutna pamięć Warszawy,

o której myślę codziennie że może tam wszystko wymarło, i co noc powtarzam bezsenne twe imię, Mario.

Widziałem pod Nahariją słońce, jak w „Smutno mi, Boże” słońce było twoją wątlą styją, przerziętą nożem.

Myślałem: „Z dymem pożarów padły mury Starego Miasta...” Miła, ja płacząc, daruj: rozpacz narasta...

Bezradny, samotnie sterczę u wód Lewantu i tępo musztruję te wiersze na wzór sierżantów.

A mnie to na nic, na nic, i niepotrzebne nikomu, skoro moja ojczyzna bez granic, serce — bez domu.

Bezdomność warszawska

Bezdomność warszawska

Pisać pod Tuwimał — nie chcę się. Pisać pod Galczyńskiego? — nic z tego.

Ja bym napisał coś pod Broniewskiego, ale jego nie ma w domu, on samotny chodzi Zoliborzem i nawet domu nie ma,

tylko ruiny bez kształtu, on chce się nad Wisłą położyć i krzyknąć: „Gwałtu!”

Ale jeśli będą gwiazdy w niebie, on się chwilę pomodli do ciebie, przelegna się przez Oriona na Wielką Niedźwiedź, gwiazdy powiedzą: „Ona jest...” Gwiazdy! gdzie ją widzicie!

W tym krzyku zostaną młodym

Dokończenie ze str. 1

ale pojmujący ludzką słabość, rozumiejący złożoność człowieka, historii czy rewolucji. Stąd, być może, wielkość Broniewskiego jako poety.

Był również internacjonalistą. Napisał na wygnaniu przejmujący wiersz „Zydom polskim”. Pisał o Francji i o walczącej Hiszpanii. Ale jednocześnie do najbliższej myśli i czucia był poruszony „polską sprawą”. I „sprawę” tę traktował jako coś najbardziej osobistego. „Sprawa” ta boleśnie go dotykała, jak miłość, jak najbliższa śmierć. O nią nieustannie toczył bój z sobą, była mu chlebem powszednim, i głodem dotkliwym, gdy tego chleba zabrakło. Miał głęboko w sobie zakorzenione poczucie ojczyzny. Był przy tym rewolucjonista, internacjonalista. Ten rys twórczości Broniewskiego szczególnie akcentuje. Powoduje mną oburzenie na pewne zjawiska współczesnej poezji polskiej.

Kamena str. 4

„Lubgal” — co hamuje?

Po VI Zjeździe
PZPR

„Lubgal” nie od dzisiaj jest dla tysięcy klientów, w kraju i poza jego granicami, symbolem elegancji i dobrej jakości. Z kilku małych, prymitywnych warsztatów w ciągu 17 lat wykształciło się największe w województwie przedsiębiorstwo przemysłu terenowego, zajmujące się produkcją wyrobów dziewiarskich oraz galanterii skórzananej.

Co przyniosły przedsiębiorstwu zmiany, w których wszyscy uczestniczymy od roku? Jakiego rodzaju a dokuczliwe problemy już rozwiązano, jakie czekają jeszcze na rozwiązanie? Co przyniosła dyskusja przedzjazdowa, co oznaczają dla przedsiębiorstwa i zalogi — a w konsekwencji także dla klientów — uchwały VI Zjazdu, realizowane na co dzień w halach fabrycznych? O tych sprawach mówią:



Maria Podemska
mistrz krajowa

W krojowni pracuje 30 kobiet i jeden mężczyzna. O nas mówi się, i słusznie, że jesteśmy fabryczną kopalnią złota, bo im dokładniej są wykrojone części, im mniej zostanie ścieków, tym lepsza jakość wyrobów, tym mniejsze straty surowca. Myślę, że nie można na nas narzekać. A przez nasze ręce przechodzi co miesiąc 25 ton surowców, czasem nawet 30.

Zjemy w naszym dziale niemal jak rodzina. Praca odbywa się na dwie zmiany, ale gdy któraś z pracownic ze względu na dzieci lub jakieś prace domowe musi sobie inaczej ułożyć czas niż zwykle, nie ma kłopotów z dobrowolną zmianą. Bardzo cieszymy się, że kobiety mają teraz w ciągu roku dwa dni wolne, i płatne, dla opieki nad dzieckiem. Także możliwość przedłużenia urlopu macierzyńskiego aż do trzech lat wielu z nas rozwiązuje sprawy rodzinne.

Jeszcze słówko o zaopatrzeniu. Jeżeli nie wiadomo, jakiego koloru otrzymamy surowiec, nie można zamawiać guzików i nici. Dla kobiet, naszych klientek, dobór kolorów to ważna sprawa, o czym jednak nie pamiętają gdzieś tam w centralach, dając przydziały w ostatniej chwili.



Tadeusz Kłaczyński
przewodniczący
Rady Zakładowej

Ogółem w ciągu roku załoga zgłosiła 76 wniosków — wszystkie dotyczyły warunków socjalno-bytowych. KSR już dwa razy kontrolowała ich wykonanie. Kilka wniosków okazało się nierealnych, kilka przekazałmy władzom zwierzchnim i niektóre z nich są już realizowane (np. zrównanie świadczeń pracowników fizycznych i umysłowych), ostatnie tzw. wnioski zakładowe są w trakcie załatwiania.

Ale kilku spraw wciąż nie możemy załatwić. Prawda, że już 150 pracowników otrzymało mieszkania spółdzielcze, w roku ub. daliśmy 66 pożyczek mieszkaniowych z funduszu zakładowego. Ale są jeszcze pracownicy, którzy mieszkają w fatalnych warunkach, a kolejka po przydziały jest długa. Kilka razy zwracaliśmy się do Prezydium MRN, aby chociaż część mieszkań, opróżnianych przez naszych pracowników przeprowadzających się do spółdzielni, przydziałać tym najbardziej potrzebującym u nas — ale nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Dlaczego?

Irytuje nas też sprawa naszego ośrodka wczasowego w Wólce Gołębskiej. Byliśmy tam przed powstaniem Zakładów Azotowych. Gdy w Azotach rozpoczęła się produkcja, nasz ośrodek stracił wszystkie walory, a mógł nam służyć jeszcze przynajmniej 10 lat. Ludzie po prostu nie chcą tam jeździć. Trzeba więc budować nowy ośrodek, to kosztuje 4-5 mln zł — ale kto ma je dać? My uważamy, że resort chemii, w Azotach nawet się z nami zgadzają — zapłacił już odszkodowanie budowlanym — ale bez zezwolenia resortu nie mogą. Jeżeli w najbliższym czasie nie otrzymamy konkretnego zobowiązania, będziemy musieli udać się do komisji arbitrażowej. A w dodatku związki zawodowe na lipiec i sierpień nie dają nam ani jednego skierowania rodzinnego, bo posiadają: macie własny ośrodek. Tymczasem ośrodek niby jest, ale nie nadaje się do użytkowania.

Jest 200 zgłoszeń na ogródki działkowe. Mamy otrzymać 5 ha na Sławinku, a więc w sąsiedztwie, ale podobno znowu powstały jakieś komplikacje i nie wiadomo, czy coś z tego wyjdzie w tym roku.



Stanisław Budka
przewodniczący
Rady Robotniczej

Problem, który chcę poruszyć, dotyczy nie tylko „Lubgala”, ale całego przemysłu terenowego w kraju. Chodzi o jego konkretne osadzenie w rzeczywistości. Wciąż podlegamy kilku zupełnie różnym ośrodkom dyspozycyjnym — radom narodowym, Komitetowi Drobnej Wytwarzalności, różnym zjednoczeniom. Źródła zaopatrzenia i miejsca zbytu też są rozproszone po różnych resortach. Stąd załatwienie wielu pilnych spraw idzie jak po grudzie, a bywa, że zanim zdąży się coś uzgodnić z tyłu zainteresowanymi instancjami, jest już za późno.

Z tym łączy się sprawa funduszu zakładowego. Dawniej wynosił on tylko 2 proc. od rocznego funduszu płac, teraz już 3 proc., a więc jest lepiej. Dlaczego jednak w przemyśle państwowym, analogicznym do naszego, jest on jeszcze wyższy? Przecież my zarówno ilościowo jak i jakościowo bijemy na głowę wiele zakładów przemysłu kluczowego. Myślę też, że warto się zastanowić, czy słusznie nalicza się fundusz zakładowy od funduszu płac, zwłaszcza teraz, gdy nie jest on limitowany przez bank, a tylko przez ekonomikę zakładu. Naszym zdaniem fundusz zakładowy powinien być naliczany od rentowności zakładu, bo przecież rentowność jest najbardziej właściwym wskaźnikiem prawidłowej lub złej pracy przedsiębiorstwa.

Jeżeli tyle mówi się o polepszeniu warunków socjalno-bytowych, to trzeba patrzeć nie tylko na ostateczne efekty, ale i na istotne źródła braków. U nas na przykład bardzo ważna jest sprawa oświetlenia. Tymczasem gdy zamawiamy 500 świetlówek, wciąż otrzymujemy najwyżej 100. Co powiedzieć ludziom, którzy albo muszą nadwyręzać wzrok, albo nawet zaprzestać pracy — co oznacza zmniejszenie zarobków, bo pracujemy przecież na akord? Jeżeli chodzi o wentylatory, które u nas są konieczne, to otrzymuje się je najczęściej rok po złożeniu zamówienia. Ten okres oczekiwania trzeba poważnie skrócić. Podobnie jest z zaopatrzeniem w części do sanitaratów.



Marian Krawczyk
dyrektor

Po VI Zjeździe powołaliśmy komisję, która opracowuje program rozwoju przedsiębiorstwa do 1975 roku oraz główne kierunki dalszego działania do 1980 roku. Analiza obecnej kadry wykazuje, że nasza załoga ulegnie dużemu odmłodzeniu. Na pierwszy plan wysuwają się więc sprawy wychowawcze, bo chcemy mieć pracowników pełnowartościowych i świadomych, ludzi o wysokiej kulturze produkcyjnej z odpowiednimi wiadomościami z zakresu nowoczesnego zarządzania. Wylaniają się konkretne zadania: jakie inwestycje wykonać, jakie problemy techniczno-organizacyjne rozwiązywać, jak powiązać produkcję ze sprawami socjalno-bytowymi?

Mamy już ogólną koncepcję, pracujemy nad szczegółami. W bieżącym roku kończymy modernizację i powiększenie farbiarni, która będzie obsługiwała cztery województwa, a równocześnie rozpoczynamy budowę magazynu dla wyrobów kooperacyjnych — otrzymujemy tu część środków ze Zjednoczenia Przemysłu Motoryzacyjnego. To nowa forma współpracy, korzystna dla obu kontrahentów. Wiemy, że popyt na wyroby dziewiarskie wciąż jest większy niż podaż. Dlatego w przyszłym roku nadbudujemy halę produkcyjną o jedno piętro. Już w tym roku, dzięki różnym usprawnieniom organizacyjnym, damy produkcję dziewiarską wartości 114 mln zł, tj. o 30 proc. więcej niż w roku poprzednim — a w 1975 roku około 200 mln zł. Razem z halą powstaną wszystkie potrzebne urządzenia socjalno-bytowe. Zabieramy się także do budowy nowoczesnego pawilonu

usługowego, który powstanie w rejonie Helenów-LSM. Chodzi nam o usługi tapicersko-samochoodowe i dziewiarskie.

Ten program inwestycyjny uwzględnia nie tylko produkcję. Jak dotychczas, mamy bufet, nawet nieźle zaopatrzone, ale to nie wystarcza. Zbudujemy więc stołówkę o jednorazowej przepustowości około 500 osób, zdolnej obsłużyć dziennie 1500 konsumentów. Zaplecze kuchni będzie wyjątkowo obszerne, chodzi nam o to, aby pracownicy — znaczna większość to kobiety — mogli kupić półprodukty do szybkiego przyrządzenia obiadu w domu. Łącznie z obrabianymi ziemniakami i przygotowanymi jarzynami, wyrobami garmażeryjnymi itp. Na tarasie nowej hali urządzimy miejsca do opalania się i spożywania posiłków w czasie przerw, a także pracownie dla naszych artystów-amatorów. W latach 1975-1977 — może uda nam się to wcześniej — chcemy do naszego biurowca dobudować obszerną część klubową. A więc normalna sala klubowa, czytelnia, biblioteka, pomieszczenia dla różnych gier, ognisk plastycznego i muzycznego, wyposażony w różne narzędzia klub racjonalizatorów, lokal informacji techniczno-ekonomicznej, a nawet „piwnica” na różne występy.

Powstaje także koncepcja dużego ośrodka rekreacyjnego, który chcemy zlokalizować na sąsiednich terenach po dawnej cegielni. Widzimy tam halę sportową, basen z ogrzewaną wodą, boiska do małych gier, nowy lokal dla zakładu leczniczo — zapobiegawczego, a wreszcie żłobek i przedszkole.

Z bardziej skomplikowanych, ale równie ważnych spraw: zastosowanie elektronicznej techniki obliczeniowej i normatywny rachunek kosztów. Szkolimy własnych pracowników, wiele spodziewamy się po umowach z UMCS, Politechniką Łódzką czy SGPIIS w Warszawie.

Chciałbym jeszcze wyrazić swoje zdanie w kilku już poruszonych sprawach. Współczynnik zmienności naszych maszyn podstawowych wynosi 2,87 — to 0,13 pozostaje na remoty czy awarie. Ale rzeczywistość kopalnią obniżki kosztów jest oszczędność surowców. Opracowujemy tu bardzo kompleksową metodę działania drogą motywacji, bodźców materialnych, analiz zużycia i nadzoru nad zużyciem. Większość naszych surowców pochodzi z importu, więc zagadnienie jest szczególnie ważne. Myślimy, że w ten sposób wypracujemy sobie rezerwę na produkcję dodatkową, aby odpowiedzieć na wezwanie do współuczestnictwa w 20 miliardach zł. Ile to może wynieść — zadecyduje wkrótce Konferencja Samorządu Robotniczego.

Nasza produkcja rośnie, a jednocześnie klienci lubelscy narzekają, że nie wszystkie wyroby dziewiarskie mogą kupić. Chciałbym wyjaśnić. Przy ogromnej różnorodności wyrobów, a także surowców, żaden zakład dziewiarski nie ma możliwości produkowania wszystkich asortymentów. Musi istnieć „podział”. Ustalenie tego podziału, jak również proporcji, to sprawa władz centralnych, zresztą też trudna i zależna od wielu czynników. Strukturę produkcji dyktuje również struktura surowców oraz maszyn. Wiemy np., że jest duże zapotrzebowanie na ciepłą bieliznę, zwłaszcza damską, ale my mamy tylko dwie maszyny do takiej produkcji.

Prawda, że co roku w styczniu mamy poważne kłopoty z uzyskaniem surowców. Nie dlatego, że ich brak, ale dlatego, że wieloszczebelowe pośrednictwo przydziałów i akceptacji jest zbyt rozbudowane. Zgadza się również, że trzeba wreszcie jasno uregulować podział ról między przemysłem klubowym, a terenowym, jak również zarządzanie przemysłem terenowym. Myślę, że w toku dalszych reform naszej gospodarki sprawa zostanie załatwiona — oby jak najszybciej. Nie czujemy jeszcze w praktyce zmian w metodach zarządzania i planowania, jak również w przekazywaniu uprawnień do niższych szczebli. To musi następować sukcesywnie, zgoda, ale wygląda na to, że na jakichś szczeblach pośrednich coś utknęło.



Tadeusz Szczerbiński
przewodniczący
kolo ZMS

Nasza organizacja liczy 400 członków, w tym jest 100 uczniów szkoły zasadniczej, odbywających u nas praktykę. Jesteśmy drugim największym kołem w Lublinie. Uczestniczymy we wszystkich kłopotach i radościach przedsiębiorstwa. Jeżeli jednak nasze oddziaływanie na resztę młodej załogi nie było proporcjonalne do naszej ilości, to jednym z powodów było to, iż mieliśmy dotychczas tylko jedną brygadę młodzieżową. Właśnie wczoraj kierownictwo zakładu nr 3 przyjęło naszą propozycję, aby tam także powstała brygada młodzieżowa. Latwiej będzie porównać wyniki naszej pracy i pracy starszych. Chodzi nam także o to, aby młodzieżowe brygady pracowały na jednej zmianie, a nie były rozbitane.

Mamy poważny kłopot z włączeniem naszych członków do brygad budowlanych. Przeważnie bowiem są to dziewczęta, których przecież nie można obciążać ciężką pracą fizyczną na budowie, natomiast samą pracą porządkową niewiele można zdziałać. Rozmawiamy z Zarządem Miejskim ZMS, aby w porozumieniu z innymi kołami utworzyć jakieś wspólne zespoły i w ten sposób ułatwić naszym dziewczętom zdobywanie własnych mieszkań.

A więc krótkie podsumowanie:

1) sprawy socjalno-bytowe w dalszym ciągu traktowane są na równi ze sprawami produkcyjnymi, a w sprawach przyszłościowych często wysuwają się nawet na pierwsze miejsce;

2) oszczędność surowców to jedno z najważniejszych źródeł obniżki kosztów;

3) sprawa zarządzania przemysłem terenowym wciąż jeszcze czeka na definitywne rozwiązanie;

4) mimo znacznej poprawy ilościowej, zagadnienie zaopatrzenia surowcowego oraz jego koordynacji z handlem zagranicznym nie zostało jeszcze rozwiązane;

5) współczynnik wykorzystania maszyn podstawowych jest rzeczywiście wysoki, w czasie dyskusji unikano jednak odpowiedzi na moje pytanie, jak są wykorzystywane pozostałe maszyny. Wydaje się, że tutaj tkwią jeszcze pewne rezerwy. Ich wykorzystanie wymagałoby zapewne jakichś uzupełniających zakupów, ale byłoby to inwestycje stosunkowo drobne, a bardzo szybko rentujące;

6) dzięki inwestycjom produkcyjnym stan liczbowy stałej załogi zwiększył się z 1200 osób do 1800, proporcjonalnie wzrosło zapewne liczba chałupników, których jest obecnie 750. W znacznej większości będą to w obu przypadkach kobiety. Stąd słusznie taki wielki nacisk na sprawy socjalno-bytowe.

Tak więc mimo już osiągniętej poprawy czeka nas jeszcze wiele rzetelnego, gospodarskiego trudu.

Już po napisaniu tej relacji odbyła się w „Lubgale” w dniu 24 stycznia Konferencja Samorządu Robotniczego. Odpowiadając na apel Partii i rządu w sprawie dodatkowej produkcji wartości 20 miliardów złotych w skali krajowej, załoga „Lubgala” zobowiązała się wykonać do końca roku ponad plan produkcji rynkowej wyroby wartości 1350 tys. zł. Będzie to możliwe przede wszystkim dzięki oszczędności już przydzielonych surowców, jak również zwiększeniu wyrobów gatunku I. Ponadto KSR zaaprobowala projekt zwiększenia planu usług dla ludności o 400 tys. złotych.

J. D.

SZTUKA Claire-Lise Charbonnier „Różowa róża”, zrealizowana na lubelskiej scenie dramatycznej przez francuskiego reżysera, daje nam miłą okazję do stwierdzenia, że dorobek Teatru im. J. Osterwy w zakresie wymiany artystycznej z zagranicą jest już dosyć pokaźny. Początek takich kontaktów sięga końca lat pięćdziesiątych, kiedy to wymieniliśmy spektakle z kilku teatrów radzieckimi. Następnie, w r. 1962, przyjechał do nas zespół Serbskiego Teatru Narodowego z Nowego Sadu, który przywiózł m. in. ostrą satyrę polityczną Domonovicia „Stradija” („Droga męki”) w ekspresjonistycznej inscenizacji Jovana Putnika. Z kolei Teatr

imię o prawo mówienia naszym drogim francuskim gościom prawdziwej, całej prawdy i tylko prawdy. Na pewno jest to dużo lepsze niż succès d'amitié. Nie waham się tedy powiedzieć z całkowitą szczerością: premiera „Różowej róży” nie była sukcesem.

Rzecz jasna, jedna niefortunna premiera nie powinna zaważyć — i bez wątpienia nie zaważyła na szczęśliwie nawiązanym przez kierownictwo naszego teatru kontaktach z zespołem „Charbonnier — Kayat” („Teatr 71”), który po dziesięcioletniej pracy nad indywidualnościami artystycznymi dziewcząt i chłopców różnych środowisk i różnych zawodów stał się, jak czytamy w programie, jednym z prężniejszych zespołów twórczych młodej Francji.

możność” skoncentrowania na nim uwagi? Sztuka jest napisana inteligentnie, reżyser, Guy Kayat, zrobił z niej widowisko pełne inwencji, współpracownik Kayata, Claude Berche, napracował się setnie nad prowadzeniem prób w ich pierwszej fazie, zdolny nasz zespół dał z siebie wszystko, a przecie... Cóż u diaska?

I oto mam wrażenie, iż wykręlam w końcu przyczyny, których widzę kilka.

Przed wszystkim sztuka Claire-Lise Charbonnier natrafiła u nas na niewłaściwego odbiorcę. Nie są dobrymi konsumentami sztuki „antykapitalistycznej” widzowie, do których na co dzień dociera „wszystko o kapitalizmie” i jeszcze więcej. Nie z kapitalizmem nam dziś walczyć wewnątrz kraju i nie tyle z biurokracją jako nadmiernym przejęciem się formalną stroną administracji, ile z indolencją administracyjnych i dość pomysłowym omijaniem przepisów, zarządzeń, receptur — przez administrowanych. Pan Mesure, zbrojny w powiedzonko „nie to jest ważne, co się klasyfikuje, lecz jak się klasyfikuje”, wydaje się u nas „typem” raczej nietypowym. „Klasyfikacja” w ogóle przez czas dłuższy była ostatnią z naszych trosk. Każdy naród ma swoje zalety i wady, satyra powinna mierzyć celnie.

Drugą zasadniczą przyczyną niepowodzenia „Różowej róży” na lubelskiej scenie stało się brzmienie wspomnianej już wersji polskiej tekstu. Tu muszę skierować słowo krytyki pod adresem dyr. K. Brauna, który też ma prawo do mojej szczerości, skoro łączy nas kilka dobrych lat pokojowej koegzystencji w środowisku teatralnym Lublina. Otóż osobliwość tekstu Claire-Lise Charbonnier polega na tym, że jest on, rzecz by można — stylistycznym przekładem: autorka spardıowała drętą mowę urzędów oraz specjalistyczny język produkcyjno-handlowy. Dialog taki powinien pobudzać widza do śmiechu bezsensownym spiętrzeniem nieznanej mu terminologii, jak to się dzieje np. w świetnej komedii Cwojdzifskiego „Temperamenty” z naukowymi określeniami. Skądinąd zaś pani Charbonnier operuje także suchym paryskim argotem, musującym jak świeże piwko. Trzeba nie mieszać i nie dwa powalać się po Paryżu, a potem dobrze przysiedzieć talców nad przekładem, by znaleźć ekwiwalenty dla wszystkich dowcipów rozsianych po francuskim tekście sztuki. Kazimierz Braun wyszedł, zdaje się, z błędnego założenia, że należy spopularyzować treści „Różowej róży” dla polskiego widza.

Jutro kultury

Dokończenie ze str. 1

nich demonstrować potrafi daleko posunięty konserwaryzm.

Związki inteligencji technicznej z tymi formami kultury są również nikle. Podnoszenie się przeciętnego poziomu wykształcenia nie jest w sposób konieczny związane z rozwojem gustów i zdolności pełniejszej percepcji estetycznej i intelektualnej ogólnego charakteru, ponieważ postępująca specjalizacja, może spowodować dalszą separację wiedzy naukowo-technicznej od humanistyki i sztuki — stwierdza socjolog to, o czym od dawna wiemy z codziennego doświadczenia.

Z największym zainteresowaniem społeczeństwa spotyka się dziś rozrywka kulturalna. Źródła tego zjawiska wiążą się chronologicznie z drugą połową lat pięćdziesiątych, kiedy z jednej strony sztuka weszła w rejony elitarniej estetyzacji, z drugiej — zaczęto traktować kulturę jako sprawę relaksu, blahaę w końcu rozrywki. I tak zostało do dziś, mimo pewnych wysiłków ze strony polityki kulturalnej, zmierzającej do unormowania sytuacji, wysiłków nieco sztywnych, jako że w ogólnym planowaniu narodowego rozwoju kulturę w dalszym ciągu traktowano się na podobieństwo deseru, czego dowodem choćby ograniczenie inwestycji związanych z działalnością kulturalną. Odbiło się to przede wszystkim na ośrodkach prowincjonalnych, hamując m. in. rozwój lokalnych ośrodków twórczych. A tylko silne — odpowiednio liczne i zdolne do produkowania wartości — środowiska twórcze mogą dynamizować kulturę regionu, powodować klimat społecznego zainteresowania i uczestnictwa w kulturze wyższego rzędu.

Otrzymałmy właśnie projekt Programu Rozwoju Kultury Województwa Lubelskiego na lata 1971—1980, opracowany przez Wydział Kultury Prezydium WRN. Materiał ten, oparty na rozpoznaniu realnych możliwości społeczno-ekonomicznych regionu warunkujących rozwój kultury, przychodzi uznać za rzetelną podstawę do środowiskowych dyskusji, z których wyłoni się ostateczny kształt „Programu”.

Projekt zakłada dalsze umacnianie Lublina jako ośrodka kulturotwórczego, który po roku 1980 powinien przekształcić się w centrum ponadregionalne, obsługujące sąsiednie województwa: kieleckie i rzeszowskie. Biorąc pod uwagę względy ekonomiczne, koncentrację usług i zakładów produkcyjnych w niektórych tylko miejscowościach, przewiduje faktyczne uruchomienie pięciu centrów podregionalnych: w Chełmie, Zamościu, Puławach, Krańniku i Białej Podlaskiej, w których powstaną delegatury Biura Wystaw Artystycznych, filie Pracowni Sztuk Plastycznych, redakcje lokalnych czasopism i wydawnictw, umożliwiające rozwój miejscowych środowisk twórczych. Ośrodki te, o znaczeniu samodzielnym w organizowaniu akcji i imprez o zasięgu ponadlokalnym, mają prowadzić działalność kulturalną na terenach sąsiednich powiatów. Pozostałe miasta powiatowe zostaną wyposażone w sale widowiskowo-kinowe ze znormalizowaną sceną i urządzeniami technicznymi, sale ekspozycyjne, biblioteki z czytelniami i urządzeniami rekreacyjnymi w plenerze. W ośrodkach o szczególnych potrzebach lokalizowane będą szkoły artystyczne, kina szerokoekranowe i kluby MPiK.

Taki model przestrzenno-funkcyjny rozwoju kultury Lubelszczyzny posiada wszelkie cechy racjonalności, przynajmniej w planie teoretycznym. Nie uwzględnia on jednak nowej siły społeczno-ekonomicznej, która sycykuje się do uderzenia, przewracającego do góry nogami całe nasze wyobrażenia o przyszłości województwa. To się wywołuje ewentualna budowa i eksploatacja kopalni węgla w rejonie Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Wypada więc przyjąć, że w sprawie planowania zamierzaniem i zarysowaniem całej „Programu” pod kątem przewidywanych faktów ekonomicznych i zjawisk społecznych. Chyba że ujawnia się ono dopiero po roku 1980, co jednakże nie zwalnia z konieczności liczenia się z nim już teraz.

Wspomniany model — nawet gdy zostanie realizowany z nawiązką, nawet, gdy władze znajdą te trzyście milionów złotych potrzebnych w tej pięcioletniej na wyrównanie dysproporcji w zakresie bazy między rejonami województwa — sam w sobie nie jest w stanie nadać życiu kulturalnemu odpowiedniego rytmu i głębości. Znamy miejscowości już obecnie całkiem nieliczne wyposażone w urządzenia kulturalne, w

Dwie ekstrapremiery

Maria Bechcysz-Rudnicka

Osterwy, rewizytując nowosadzian, zaprezentował u nich, a także w Belgradzie, Lublinie i Suboticy, „Wielkiego Bobby” Gruszczyńskiego oraz schillerowską adaptację „Królów przedmieścia”. Dalej: parę lat temu odbyły się w Lublinie występy gościnne teatru dramatycznego ze Skopje i rewizyta naszego teatru — w stolicy Macedonii. Wreszcie, zupełnie już niedawno, wymienili spektakle teatr lubelski z teatrem z Jass, i kontakt z Jassami zaowocował też cenną wymianą reżyserów: Kazimierz Braun wyreżyserował w owym bardzo uteatralnionym mieście „Pierwszy dzień wolności” Kruczkowskiego, rumuńska zaś reżyserka, Catalina Buzoianu, odwzajemniła się Teatrowi im. J. Osterwy znakomitą inscenizacją „Nie jestem wieżą Eiffla”, pozostającą jeszcze dziś w repertuarze lubelskiej sceny.

A teraz Paryż!

Nie będę powtarzać na tym miejscu truizmów o przyjaźni, jaką Polacy żywią od lat wielu — od wieków, do Francji i Francuzów. Używam słowa przyjaźni jedynie w tym celu, by upomnieć się w jej

rozporządzającym dzisiaj w paryskiej dzielnicy Malakoff najbardziej nowoczesnym francuskim budynkiem teatralnym.

Wydaje się, iż polską prapremierę „Różowej róży” w takim kształcie, jaki sztuka przybrała na lubelskiej scenie, należy uważać po prostu za swego rodzaju eksperymnt, a gdzie i kiedy, jeśli nie przy eksperymentowaniu, dają się usprawiedliwić pewne błędy i usterki?

Proponując dla spektaklu Teatru Osterwy określenie „eksperymentalny” mam na względzie: primo — niepewność dotarcia do widza znaczeń polskiej wersji tekstu, którego przekład nastęrcza niebagatelnych trudności, secundo — niepewny rezultat porozumiewania się reżysera z zespołem nie znającym jego języka (choćby i w asyście dwóch tłumaczy).

Wyznaję, długo męczyłam się dociekaniem, dlaczego lubelskie przedstawienie „Różowej róży” jest — no, miejmy odwagę to powiedzieć otwarcie: dlaczego jest wręcz nudne? Skąd się bierze owa „nie-

Dokończenie na str. 8

We wtorek trzynastego...

Stanisław Zbożowy

TE noże to on kupił w powiecie. — Nie. Skąd? Do powiatu stąd dopiero zabrali. Już po wszystkim. A te noże to były zwyczajne, z kuchni.

— Wtedy to on najsamprzód w gardło, sztychem, a później to on koszulę podkasał, polo miał, i w serce. Cała kuchnia była czerwona.

— Nie w serce, w osierdzie. Z tym, że to akurat na odwrot: najsamprzód w osierdzie, a potem po gardle dydu-dydu.

— Trzynastego to było. Trzynastego lipca. Ale trzynastego, to swojom wymowe ma, nie?

Osada jak osada. Pomnik swój ma; gees, remiza, klubokawiarnia, ksiądz proboszcz et cetera. Nowoczesność — ta mierzona koszulami noniron, motocyklami, telewizyjną anteną — też ewidentny ślad na osadzie odciśnięta. Prostokątny rynek wiąże cztery główne ulice asfaltowanymi szosami poza opłotki w cztery światła strony wybiegające. Nie opodal stacja kolei żelaznej z rozkładem jazdy cztery pozycje na dobę liczącym, stacja z trawiastą boczną, obudowana wokół składowiskami i magazynami z poniemieckich baraków. Królestwo Józefa Nózki ta stacyjka senna, na skraju lasu kresowej równiny przycupnięta. Tu, z tą stacją, wiąże się wszystko znaczące w jego czterdziestoletnim żywocie ręką własną trzynastego lipca roku bieżącego przeciętym. Tu pracował, tu żonę poznał, tu z alkoholem cyrograf podpisał dośmiertny. W tym kantorku w rogu baraku urządzonym przeszło połowę dni swoich przesiedział, tu wypił hektolitry spirytusu, goldy, win patykami piśnianych, tu świat ważył tu z życiem mierzył się własnym i nie tylko. Tu dojrzała jego ostatnia decyzja, tu ją tygodniami całymi pieścił, starannie, wręcz pedantycznie przygotowywał do przesilenia w czyn. Ale czyn zrealizował nie tu, lecz w domu.

Stół nie opodal rynku, blisko kościoła wczesnobarokowego, zabytkowego, vis a vis pekaesowskiego przystanku. Okazały jest nader, acz trzydziestolecie bez mała trwa pod dachem z cynkowej blachy, zębem czasu nie

naruszonej jakby. Obszerny dom, murowany, z weneckimi oknami na świat boży, z werandą dzikim winem oplecioną aż po dach. Trzy pokoje obszerne, dwie kuchnie, podpiwniczenie, a na strychu dwie izby jeszcze, letnie. Od jednej, z południowej strony, taras — balkon w kwiecie tonący. Ładny, okazały dom w świeżej farbie na odnowionym tynku, zanurzony w zieleni dwudziestoletniego sadu, w ogródki nożce krętej przechodzącej. Całość siatką drucianą na betonowym murku obramowana, siatką różnokolorowo segmentami pomalowana, w bramę i dwie furtki zaopatrzona. Miło popatrzyć.

W kuchni, w tej kuchni — schludnie, czysto. Świeże wapno, świeża farba wesola na ścianach. Z wzorzystym rzućkiem. Na podłodze też żadnych plam. Zwykła kuchnia z makatkami pod tytułem „Szczęść Boże” i „Gospodini tym się chlubi że gotuje co maż lubi”. Nowe dni nalożyły się szeszelną warstwą na tamtym dniu. Tamten dzień na rzeczach nie pozostawił żadnych śladów. Nowe są w kuchni noże kuchenne, tamtych, ostrzonych w magazynach kantorku wieczorami starannie, trzeba szukać w prokuraturze jako dowodów rzeczowych zamkniętej już sprawy. Nowe noże. Nowa farba. Czyściocia lśni kredens. Żadnych śladów na sprzętach. Żadnych na wyszorowanej po sobotniemu podłodze.

Fakt, że Józef Nózka tu właśnie wykonał swój zamyśl, wydaje się nie mieć żadnych istotnych motywacji. Kuchnia zdaje się być miejscem zupełnie przypadkowym. Bardziej niż magazynowy kantorek, w którym decyzja dojrzała, gdzie ostrzył na brzytwę obydwa noże, gdzie tego dnia od rana wysuszał do lustra półlitrowkę spirytusu. Przyszedł jednak do kuchni.

— Firanki pozostawiał, drzwi na zaszczepek pozamykał, na kłami czapki pozawieszył i gadał coś do siebie. On tak zawsze, jak się spili, to sam ze sobą gadał. Wariat i tyle.

Nie, siostra nie nie podejrzewała, nawet przez myśl jej nie przeszło. Opinia matki identyczna: pijaczyna, myzyczneg, białej gorączki po wódce dostawał i gadał z kimś, choć sam był jak ten palec. O czym mówił? A bo to kto pijanicę wyrozumie? Rozmawiał, płótl trzy po trzy, jak to płak. Czasem, komedia, choć to syn i brat, ale sprawiedliwie trza powiedzieć, nieraz to jak gadane się

mu się skończyło, płakał. Komedia — stary chłop, siwy, a jak dziecko albo baba chlupał. Wódka jego zabiła, Pante, świec nad jego duszą, zawsze to syn.

Tak, nie lubiła, nie szanowała go matka rodzona. Nikt go z obcych nie szanował. Matka i siostra były mu obec. Jak na człowieka za życia patrzyła na Józka Nózke tylko jego żona i kolega serdeczny od szkolnych jeszcze lat, magazynier z sąsiedniego magazynu wielobranżowego. Razem przepijali tony węgla, tony zboża, lewe kursy leśnego runa, owoców, ciężkie tyśiące wygosparowanych nadwyżek. Jak bracia żyli. Zapytajmy programowo najwiecej: nie nie wspominał Józka, nieczego magazynier się nie domyślał?

— Teraz to wiem, ale wtedy? Panie, jak ja bym teraz panu powiedział, że wszystko to kupa gnoju i jedno jest wyjącie: przekreślić się na drugą stronę — to pan byś mnie uwierzył? No widzisz pan. Teraz to ja wiem. Wszystko przez nią, mówię panu, Amazonka wszystkiemu winna, bładź jedna.

Tak ją nazwali jeszcze za Niemca. Wtedy miała osiemnaście — dwadzieścia lat. Była piękna. Dziś jeszcze zachowała młody stosunkowo wygląd. Na pierwszy rzut oka nikt nie dałby jej więcej niż czterdzieści lat. Wysocka, blondynka, ogromne oczy, piękna twarz upadłego anioła. Taka jest teraz. A trzydzieści lat temu?

Od czego się zaczęło, nikt już dziś nie pamięta. Nawet tutejszy, od półwiecza bez mała zasiedziały proboszcz dojrzwający w otoczeniu bogatej kolekcji obrazów, wśród których jest oryginalny Matejko, Giermski, Kossak; proboszcz wie tyle dokładnie, co wszyscy — puszczała się z Niemcami.

W sąsiednim majątku, ze względu na poblizkość nazpikowanego partyzantami kompleksu lasów, stacjonowała silna jednostka Schupo, był pluton SS i garnizon granatowej polcji. Zasobni w rabowane podczas pacyfikacji i likwidowania miedzyrzeckiego getta precjoza i forsz, Niemcy sownie wynagradzali piękną dziewczynę. Nie, nie szpiclowała. Nie to, że nie chciała, tego nikt nie może powiedzieć. Nie została konfidentką, ponieważ uprawiała proceder jawnie. Początkowo jeździła do majątku przysyłanym pod rodzinną chatę autem, potem, szybko zresztą, przeniosła się do pałacu na stałe. Nie można powiedzieć, odwiedzała matkę. Zostawała jej żywność, ubranie, pieniądze. Bawiła najwyżej godzinę, wsiadła do oczekującego auta z mocną eskortą motocykli i szybko odjeżdżała. Później, po pierwszym i jedynej zresztą, nieudanej próbie zamachu w drodze przez las, zaniechała i tych krótkich odwiedzin, wspomagając matkę przez umyślnego. Widywano ją natomiast często jeżdżącą konno po rozległych polach majątku. Z psem wliczorem, w asyście zmieniających się adoratorów w mundurach feldgrau. Nad ludzie odczuwali nostalgie, odczuwali wyższą tęsknotę. Mieli fantazje, przebierali większą dziewczynę w stroje hrabianek; pałacowe szafy były ich pełne. Przed pokładaniem się na łóżku übermensche konsumowali iluzje. Wzruszające.

Z owych przejażdżek bierze rodowód przewzisko, które przetrwało do dziś — Amazonka.

Wyjeżdżała Amazonka opisany dom ów okazywał, wyjeżdżała pokaźny ponoń wóreczek pożydowskiej biżuterii, wyjeżdżała też egzekucje w pierwszych dnach wolności: partyzanci ogolili jej włosy, nie tylko na głowie. Musiała być Amazonka piękna jednak i bez włosów. Rychło i bardzo spodobala się samemu komendantowi oddziału, który wykonał egzekucję. Ale dowódca nie bawił długo w tych stronach. Miał wrócić, obiecał. Nie wrócił. Zginął.

Wyjechała Amazonka do Lublina. W osadzie zbyt świeża była pamięć tych, co wiedzieli i przeżyli. Gdy włosy więc trochę odrosły, spakowała manatki i poszła na stację. W Lublinie szybko wyszła za maż, za adwokata. Idylla trwała długo, dziesięć lat bez mała. Amazonka, podówczas pani mecenasowa, po Październiku 56 uznała snadź, że dosyć banicji, czas szczęście swoje w oczy rodakom rzucić. Panie mecenasowe, u których w Lublinie bywała, też miały lisy, pelisy, auta i co tam jeszcze; w tłumie się ginie, nawet z urodą Amazonki. Co innego tam, w stronach rodzinnych. Prinzem zajęchali, w kościele w pełni bujnego rozkwitu Amazonka toaletą i biżuterią oślniła i zaszkocowała wszystkie panie z towarzyszą, aptekarzową, doktorową, nauczycielki, żonę weterynarza, nie byle co, bo bratową jednego z największych w swoim czasie warszawskich bonzów.

I to był bład Amazonki. Nie minal tydzień od wizyty w osadzie, a pan mecenas otrzymał anonimowy, z których dowiedział się wszystkiego o przeszłości żony. Udęczony jej zdradami i flirtami, twardo zażądał rozwodu, bez orzekania winy, bez materialnych zobowiązań, jako że małżeństwo było bezdzietne. Nie miała wyboru. Odeszła do kochanka, młodego chłopca, którego przed rokiem wyrzucili z uczelni. Wynajęła pokój w śródmieściu, zapłaćca za rok z góry i tak przeżyła z tym chłopcem, jak dziś jeszcze mówi, dwanaście najlepszych miesięcy swego życia. Na tyle wystarczyło oszczędności i kosztowności topniejących w błyskawicznym tempie. Po wyczerpaniu zasobów młodzian po prostu przeniósł się do innej kochanki, a Amazonka zasłała przy stole w Regionalnej. Interes nie szedł jednak najlepiej, gospodini, matka dorastających córek, najpierw podwoiła komornę, a potem zabroniła wizyt panów. Otdąd Amazonka musiała dzielić zyski pomiędzy taksówkarzy i właścicieli zakonspirowanych domów schadzki. Potem przyszły jeszcze cięższe dni: wpadka. Najpierw leczenie, potem milicja.

W ciężkich chwilach człowiek z reguły wraca myślą do rodziny. Matka nie wchodziła w rachubę, zdążyła wyciągnąć od niej wszystko, co miało jakakolwiek wartość, a co uprzednio jej ofiarowała. Pozostał brat, Józef Nózka. Był użytkownikiem jej domu, kupionego przez nią jeszcze podczas okupacji ogrodu i trzech hektarów pola. Napisała, by

których rządzi masowa rozrywa, tolerująca a to kółko filatelistów, a to recytatorów trzeci, a to drobnych skatników. Ten model będzie funkcjonował w interesie kultury socjalistycznej tylko wówczas, kiedy na Lubelszczyźnie zarysują się środowiska twórcze produkujące autonomiczne wartości kulturowe, zdolne do udziału w krajowym życiu intelektualnym i artystycznym. Tej perspektywy ogólnopolskiej nie wolno zatracić, albowiem węższe widzenie prowadzi do kreowania prowincjonalnych bohaterów o wysokości metr dwadzieścia w kapeluszu, o autorytecie co najwyżej grupowym, a więc w sensie społecznym — żadnym. Tylko faktycznym do środowiska twórcze zdolne jest do wykształcenia trendów kulturowych, do uczestnictwa w wyznaczaniu parametrów polityki kulturalnej i jej realizacji. Ale środowisko takie może powstać tylko w odpowiednich warunkach, umożliwiających transmisję wytwarzanych przez nie wartości, wprowadzających te wartości w jak najszerszy obieg społeczny.

„Program” zakłada konieczność zwiększenia funkcji usługowej instytucji artystycznych i środowisk twórczych wobec województwa, „o ileż aktualna sytuacja i odpowiedzialność odbiega od zakładanego minimum”. Środowiska te są nieliczne i słabe, więc należy m. in.:

- rozbudować Wydawnictwo Lubelskie i uwzględnić w nim pierwszeństwo lubelskich autorów, by każda wartościowa książka ukazała się w księgarni po półtora roku (dziś po kilku latach). Równocześnie winna zwiększyć się liczba tytułów wydawniczych, albowiem aktualne założenia WL (63 tytułów w 1975 przy pokątnej liczbie pozycji spoza regionu) nie gwarantują żadnych zmian, korzystnych dla miejscowego środowiska;
- popierać i otaczać opieką ludzi utalentowanych, stwarzając im warunki do eksperymentu artystycznego, twórczych poszukiwań i nowatorskich rozwiązań;
- doskonaląc społeczne formy odbioru sztuki przez kontakty z zakładami pracy, szkołami etc.;
- wprowadzić do budownictwa planowany procent pracowni plastycznych jako wiaźący; rozszerzać wystawienictwo plastyków lubelskich;
- wprowadzić artystyczne stypendia fundowane, szczególnie w pięciu miastach podregionalnych, w celu zapewnienia tym ośrodkom kadry twórczej i artystycznej;
- stworzyć bazę dla klubów twórczych, a także dom środowisk twórczych;
- polityka kulturalna do 1980 roku winna zmierzać do kształtowania się początków środowisk twórczych we wspomnianych ośrodkach podregionalnych.

Pod takim programem można się podpisać obiema rękoma, albowiem ma on charakter dalekosiężny, uwzględnia istotne — choć nie wszystkie — problemy środowisk twórczych i po raz bodaj pierwszy na Lubelszczyźnie obiecuje administracyjne poparcie i opiekę nad twórczością nowatorską i eksperymentem artystycznym, zgadzając się tym samym na pełnoprawną obecność sztuki nieuglądzonej. Bo przecież nie ma powodu, żeby w świecie o porównywalnym rytmie zmienności, o znacznym stopniu konfliktów, kultura miała być oazą ludu łatwego — jak zauważa Marcin Czerwiński, który swego czasu wahał się, i słusznie, czy zaliczyć Lublin do ośrodków kulturotwórczych.

Szczególną wagę mają również zaplanowane próby ukształtowania środowisk twórczych w miastach „podregionalnych”. W najbliższych latach Puławy, Chełm, Zamość przekroczą 50 tysięcy mieszkańców, w poszczególnych wypadkach zbliżając się później do przewidzianej granicy 70—90 tys. obywateli. Artystyczne środowiska twórcze są tam konieczne z wielu oczywistych powodów, lecz przede wszystkim dlatego, aby nie powtórzyła się sytuacja teatru „Azotów” i pantomimy Jerzego Leszczyńskiego, dyskretnie rozpedzonej na cztery wiatry przez ludzi władnych a pragmatycznych w stylu myślenia. Puławski ośrodek kulturalny rywalizował kiedyś z Warszawą. Było to w XIX wieku.

Projekt, jak to projekt, posiada przecież luki i niedomówienia, od czasu do czasu potrąca też o fakty stare, na nowo rzekomo przenicowane.

Nie wspomina np. ani słowem o fotografii lubelskiej, mimo że właśnie na jej terenie dzieją się dziś sprawy o doniosłym znaczeniu dla samopoczucia sztuki, dla jej szans społecznej obecności, wmanewrowanie tej dyscypliny artystycznej w gęstwinę form działalności towarzyszy społeczno-kulturowych, odbiera i wagi, i tworząc autonomię poczynaniom kilku młodych fotografików, przekreślając możliwości instytucjonalnego poparcia tego ruchu. Jeśli zamierza się sprzyjać nowatorskim poszukiwaniom twórczym, nie sposób wykluczyć spod tego patronatu właśnie fotografików, którzy mocnym, choć niezbyt jeszcze szerokim frontem, wchodzi na arenę ogólnopolską. Żugaj, Demidowski, Polakowski, Leo, Dados czy Jaloński nie powiedzieli zresztą jeszcze ostatniego słowa zarówno z trybuny fotograficznej, jak i tej, która wyklucza podziły na gatunki i rodzaje artystyczne. Poza tym warto przypomnieć o istnieniu w Lublinie delegatury Związku Polskich Artystów Fotografików. Naj-

sensowniej jednak ostrzegać konkretnych artystów.

Jeśli zaś chodzi o plastyków, o twórczość plastyczną, to wydaje się celowe zmodyfikowanie — poprzez sugestie i decyzje programowe — działalności Biura Wystaw Artystycznych, szeroko zakresu upowaszczniania plastyki, zakładający utworzenie delegatur BWA w Chełmie, Puławach i Białej Podlaskiej, pięciu punktów wystawienniczych w ośrodkach przemysłowych, 11 — w miejscowościach o funkcji ponadregionalnej, 11 — przy szkołach, jednostkach wojskowych etc., a w dalszej perspektywie (do r. 1980) — otwarcie w Lublinie galerii sztuki ogólnopolskiej — taki właśnie zakres doprawdy wierzają w miłośników sztuki pięknej, choć coraz bardziej okrutnych. W planowanych działaniach BWA zabrakło przecież określenia lansującej roli tej instytucji, roli spełnianej poza granicami województwa. Owszem, wystawy indywidualne czy zbiorowe plastyki lubelskiej odwiedzają od czasu do czasu inne ośrodki, lecz są to wizyty przypadkowe, nie mające nic wspólnego z dialogową i przemysłową polityką propagowania sztuki lubelskiej na zewnątrz. Inny ośrodek proponuje gościć, proszę bardzo, posłamy jakiś zestaw. Nie zastanawiając się nad korzyściami wypływającymi z takiej eskapady dla autora i dla całego środowiska. Zastępczy żadnych korzyści nie ma, są tylko straty — obrażony, nerwowi, czasu. BWA winno starać się o lokalizowanie dorobku naszych twórców w miejscach kształtujących opinię artystyczną, ustalających hierarchie, mówiącą trywialnie — wprowadzających na rynek. Przynajmniej kilku malarzy i grafików z czystym sumieniem możemy chyba wysłać do Warszawy, Krakowa, Wrocławia. Przed tym, rzecz jasna, wypadnie przeombować strukturę organizacyjną BWA, lecz nie wymaga to wielkiego wysiłku, tym bardziej że przewiduje się rozbudowę tej instytucji w Województwie Odrodzenia i Upowszechniania Sztuk Plastycznych.

„Program” pomija także celowości wydawnictw o plastyce lubelskiej, a przecież trybuna malarza czy grafika jest również album, skromna nawet typograficznie monografia, trwały znak jego działalności, przynajmniej wzmianka o niej. Na tym terenie Wydawnictwo Lubelskie nie stwarza najmniejszej zachęty autorskiej.

W rozdziale poświęconym teatrowi znalazło się kapitalne w swym realizmie stwierdzenie, nie nowego może nie odkrywające, lecz warte szczególnej pamięci przy wszelkich próbach ustalania planów działalności artystycznej: *Wobec coraz większych możliwości prezentacji twórczości za pośrednictwem środków masowego przekazu, wylania się problem poszukiwania przez instytucje artystyczne nowych dróg rozwojowych, nowych koncepcji określających miejsce żywej sztuki w życiu kulturalnym. Mieljmy nadzieję, że przeświadczenie to stanie się również własnością projektantów nowego budynku teatralnego, który kosztem ok. 150 mln zł stanie w Lublinie za kilka lat. Ograniczenie się do scen pudełkowej i arenowej nie zapewni warunków do realizacji owych „nowych koncepcji”. Teatr przyszłości*

— wiele na to wskazuje — będzie miejscem wszelkich działań artystycznych, których jedynym elementem „tradycyjnym” pozostanie zapewne... człowiek.

„Program” nie przewiduje postulowanej wielokrotnie przez środowiska kulturalne Lublina budowy ośrodka telewizyjnego i nie chyba nie da się zmienić w tej sprawie. Pozostają nam radio, dwie gazety oraz „Kamena”, która, nie wiadomo od jak dawna, proponuje się przekształcić w tygodnik i wspomóc lepszym lokalem redakcyjnym.

„Program” nie ogranicza się, oczywiście, do problematyki środowisk twórczych i instytucji z nimi w jakiś sposób związanych, zajmuje się dynamiką kultury i klubami, upowszechnianiem czytelnictwa, filmu, muzyki, muzealnictwem i ochroną zabytków, społecznym ruchem kulturalnym, szkolnictwem artystycznym, inwestycjami, modelem kierowania kulturą... Największą zaletą tego projektu jest wszechstronne przedstawienie w jednym dokumencie istniejącego stanu kultury lubelskiej, jej przewidywanych obowiązków społecznych i potrzeb materialno-kadrowych. Te potrzeby znamy od lat, wiele z nich już dawno winno ulec zaspokojeniu, okazuje się jednak, że „pożądaniem” przechodzą do następnej pięciolatki. W ten sposób „Program” zyskuje dodatkowy walor: smutnego dokumentu o porażkach kultury ponoszonych w zeszłości i z rzeczywistością.

Czy rzeczywistość lat najbliższych będzie zyciwsza dla kultury? — oto pytanie o pierwszorzędym znaczeniu wobec faktu, że realizacja zamierzeń programowych wymaga sporych nakładów finansowych. „Program” odpowiada wprost, że nie należy liczyć na bardziej radykalne i pożądane zmiany, zachęcając równocześnie wielu przetrząsnętych kontrahentów resortu do wykazania dobrej woli, racjonalizacji wydatków inwestycyjnych, ich koordynacji, do szukania rezerw finansowych i powoływania międzyorganizacyjnych placówek kulturalnych. Oczywiście, szereg inwestycji ma zabezpieczone środki...

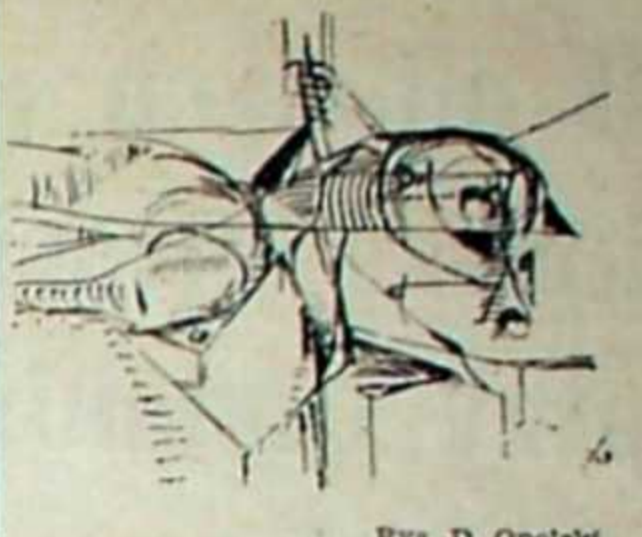
Tak więc prawda... że na pewnym etapie rozwoju społeczeństwa kultura winna rozwijać się szybko od np. działu produkcyjnego, czy innych działów — jeszcze nie dotarła do naszych planistów i ekonomistów — melancholijnie stwierdza Jerzy Kossak, ostrzegając zarazem przed zjawiskiem traktowania kultury jako strefy czystego rekalku, które może pojawić się na naszym gruncie, choć strukturalnie przynależą do mieszczańskiej cywilizacji przemysłowej Zachodu. Może?

Ireneusz J. Kamiński

Janusz Jaśniak

Wrzesień

świt
o białej łasce święty
podbiał smak jorzębin
w studni diabeł
ogień dmucha
koń miedzianą szyję
czochra o sierść sosny
wpada świt
w potoku tańca
w zawieszę pszczoł
nad ląką
i słońce się z diabłem kuma
mgły — pólunu zapach
zęby cierpna w gorzkim świecie
i garnek po rosie
na wczesny śnieg



Rys. D. Opolacki

Paweł Targiel

Ogrody

Przyszedł — spiał ciemności łaską
Obcował ze zwierzętami
I zamknął za sobą bramę
Wszystko co zostało
Pamięta jak latarnię
Siedzę teraz zacząjony
W najciemniejszym ogrodzie
Słucham jak inni
W swoich dziuplach
Swiergoczą zjadle

przysłał jej 150 tysięcy i będą kwita. Formalnie, z aktem notarialnym.
— Wtedy Józef dopiero co był po ślubie, ze trzy lata. Pan wie, pijaczek, stary kawaler i ni z tego ni z owego takie szczęście, miedzianka, śliczna, zdrowa żona. Wyrozumiała i troskliwa. Raz na sto lat takie coś, nie. Ania, nie wiem czemu, ale to fakt, za jej się Józkiem tak, że matka by tego lepiej nie zrobiła. Kobiety takie czasem są, rzadko, ale są, nie? No, wtedy to było ze trzy lata po ślubie, mala Ania miała dopiero z rok, duża Ania znów była przy nadziei. I te sto pięćdziesiąt tysięcy, nie? Pytał mnie, co robić? Płn, powiedziałem, nie urządzaj, masz rodzinę, nie?
Podobnego zdania była Ania, żona. Józek chciał prosić o rozłożenie na raty, ale żona sprzeciwiła się stanowczo.
— W razie czego, powiedziałam, wystarczy nam twoja i moja pensja. A dom, jak będzie trzeba, wybudujemy sobie nowo.
Pani Anna nie płacze, już swoje wyplakała. Na jej kolanach dwu chłopców, sześciolatki i pięcioletni. Córeczka, Ania, jest u cioci, u Amazonki, która bardzo dzieci lubi, jak mi się zwierzyła, do szaleństwa. Pani Anna jest już po drugiej stronie, już stygnie, przyjmuję los jeśli nie w pokorze, to z rezygnacją. Przerwała rozpoczęte zaołone studia i chyba ich nie skończy, pozostanie nauczycielką z dyplomem SN w tej szkole z czerwonej cegły vis a vis barokowej świątyni.
— A jak przyjechała, nie dała żyć Józku. Ania zaczynała studiować na ujęcie, wcześniej, zaraz po ślubie, włożyli się do ostatniego na odnowienie domu, ogrodzenie sadu, zadłuzili się po uszy w ratach na meble i telewizor. Jak Amazonka zjechała na jesieni w sześćdziesiątym dziesiątym to już było widać koniec długów, już, jak to mówią, zaczynało raźniej robić się i w ogóle... Józek pił, fakt, ale nie z pensji. Boże brzoń, co do gronia Ani oddawał, a nawet czasem więcej. Fakt, pił, ale na to zawsze jest sposób. Jak się obraca towarem na setki tysięcy, to nie ma tak, żeby nie z tego nie kapalo. Samo, nie żadne tam kradzieże czy łapówki. To jakoś się poprawi, nie, to gatunek podmieni, to na wadze rozkusz, to ktoś postawi, bo z ludźmi trzeba żyć, nie, inaczej nie da rady. No to jak przyjechała, to się wściekla. Stara się już zrobiła, nie było po co wracać do Lublina, wiedziała, nie, młodsze ja tam zastąpiły, takie jest życie, nie? O, takie panie, jak te tutaj. Z gazet żem powycinał, zawsze weselej, jest na czym oko zatrzymać, nie? No to ona, Amazonka, do sadu, mówię, oddam.
— Nic, tylko dawaj i dawaj! Na ulicy potrafiła dopaść, do magazynu do niego pójść i od chamów, złodziei nawyzywać.
— Upominałam się ewentualnie o swoje. Prawo jest za mną.
Upominała się więc Amazonka o te 150 tysięcy coraz natarczywiej — w miarę jak rosła jej nostalgia za wielkomięjskim życiem, jak w drzemce zagubionej na kresach osady uświadamiała sobie z każdym dniem ostrzej, że oddała się od niej nie tylko owo

wielkomięjskie, lecz umyka życie w ogóle, ta jego część dla kobiety jeszcze znacząca, nie całkiem jeszcze pusta.
Kobiety bywają okrutne, więcej: kobiety umieją być okrutne — jak mawiał jeden z moich znajomych w Basztowej, zanim nie kipnął z przepicia (nawiasem mówiąc ciekaw byłbym jego miny, gdyby mógł się dowiedzieć, że żona, która wypędziła go z domu, nie tylko wyprawiała mu pożreb, ale i plakała nad grobem, plakała naprawdę, bo oprócz jej i mnie, człowieka zupełnie jej nie znanego, oraz trzech zajętych swoimi sprawami grabarzy, nad mogiłą nie było nikogo). Amazonka umiała. Rozszyfrowała wszystkie słabości brata, odkryła jego stałe krwawiącą ranę: Anka wyszła za ciebie z litości, ty lachu, ona się puszcza w Krakowie ze studentami, dlatego, baranie, żeby się gzić bez krępacji zapisała się na te swoje studia, patrz, lachu, na swoje dzieci, dobrze się im przyjrzyj i popatrz w lustro, a później dookoła, może na ojców natrafisz. Anka kształcona jest, a ty co, cham zwyczajny, jak myślisz, jakby nie musiała, wyszłaby za takiego starego dziadęgę, pijusa, lacha?
— Fakt, nie ożenił się Józek z dziewczą.
Znana była jej sprawa w powiecie, z żonaty inspektorem. I nic tu nie pomogło ewidentne oddanie, lojalność młodej żony. Zbyt młodej, młodszej o szesnaście lat, w tym przypadku o całą wieczność. Zbyt ładnej, zbyt czystej jak na niego, który przy swoim czwartym wówczas krzyżku nie znał jeszcze kobiety, prócz wódki, książek i nie całkiem normalnych marzeń nie miał żadnych pragnień, nadziei. I oto zięciło się. Ale tak naprawdę — wyobrażam sobie — Józef nigdy nie uwierzył w realność swego szczęścia.
— Panie, on taką kobietę jak pani Anka na rękach powinien nosić, po nogach całować! Wstyd powiedzieć, ale on ją bil po prostu. Nieraz na lekcje przychodziła, że nie miał nikt wątpliwości, skąd te sińce miała. Przy tym jako kierownik mogę zaświadczyć z całą odpowiedzialnością, że pani Anka to wzór koleżanki po prostu i znakomity pedagog.
— Nie zastanawiał się pan, dlaczego Nóżka nie przestał pić, gdy się ożenił? Tak powinna przebiegać normalna reakcja normalnego mężczyzny, prawda?
Lekarz sądzi, iż wie, jakie są normalne reakcje normalnych ludzi. Takiemu to dobrze, myślę, bo sam, choć normalny chyba, nie rozumiem wielu, przynajmniej połowych swoich reakcji; po prostu mam odwagę je analizować i nie lękam się wniosków. Mniejsza o opinie lekarza, choć swego czasu pokazywali go w telewizji jako Judyman naszych czasów. Osobiście bałbym się zaakceptować nawet Judyman Zeromskiego; nie mam już, niestety, siedemnastu lat. Mniejsza o to.
Zwróćmy się do ludzi jeszcze z tym samym najwymyślniejszym pytaniem: dlaczego?
— Jak się ma 46 lat, piąty krzyżyk, a żona lat 30, kobieta całą gębą i jak samemu jest się pijakiem, a jeszcze jak wszyscy są przeciw, siostra i matka rodzona, to może,

na zdrowy rozum, wyjścia nie było. Chłop sam na świecie jak ta trzcina na wietrze, byle co go złamie. Ja tam dużo jego rozumieć. Nie powiem, żeby wszystko, ale dużo dosyć.
— Wie pan, atmosfera jakaś taka się wytworzyła, narastała, coraz gęstsza się robiła, że tak powiem. Najpierw przez z geesu w sadzawce, bo synka ratował. Urlop se wziął, żeby koło nowego domu popracować, po czątek lipca był wtedy. Aż tu patrzy, a w sadzawce, za siatką zaraz, synek jego, czteroletni pędrak. Więc przez siatkę i do wody. I po wszystkim. Chłopak wylazł, a jego wyciekiem dopiero wyciągnęli, jak na wierzchu wypłynął. Serce, proszę pana. Wody może trochę kolan wyżej było, nie więcej. No, a później Heniek Kliszko na weselu u kolegi ni z tego ni z owego wyciągnął pistolet i trzech chłopców, rozwalil. To było w sobotę, a Nóżka, z tymi nożami, we wtorek, trzynastego.
— Wezwałem ją, znaczy obywatelkę Nóżkę Alicję... a tak nazywają, nie moja sprawa... wezwałem i śledztwo do protokołu, bo świadkiem była najważniejszą.
— To wiem, protokół czytałem w prokuraturze. A co było z koniem?
— Nic nie było, nie moja sprawa.
Kraśniej słuade lica sierżanta, młodzieńca przystojnego okrutnie, z kruczym wąsikiem hiszpańskim nad wisniowymi wargami.
Amazonka konia kupiła sobie na targu, jeszcze przed śmiercią brata. 2 ha sprzedała i kupiła za połowę, 15 tysięcy, konia karego. Drugą połowę przepuściła z owym lekkoduchem, z którym ongiś przez najlepszych dwanaście miesięcy upłyniała dorobek całego żywota. Konia zatrzymała, choć narowistą bestią się okazał. Spokojnie przyjęła nawet wyjazd zrażonego brakiem gotówki amanta: jego sugestie spieniężenia rumaka zbyła twardym nie. I właśnie na onego konika usiłowała poderwać zabójczo hiszpańskiego sierżanta: konia ewentualnie teraz ujeżdżam aktualnie, ale, oczywiście, nie do damskiej rączki, przydałaby się prawdziwa ręka mężczyzny, prawda, panie sierżancie?
— Nóżka popełnił samobójstwo, śledztwo nie pozostawia żadnych wątpliwości.
— Motywy?... Na te alkoholowym. I na te wynikających stąd zaburzeń psychicznych.
Można ponadto poczytać zeznania przesłuchiwanych. Można wysłuchać chętnych relacji żywych ludzi, na których oczach żył i umarł Józef Nóżka. Powtórzę zgodnie: miewał ataki depresji. Depresje, biała gorączka, białe myski i czarna rozpacz. Delirium tremens, ataki chorobliwej zazdrości, furiackie awantury. Słowa, dużo słów.
— Banal, zwyczajny banal, młody człowieku. Proszę nie protestować, w porozumieniu ze mną... Banal albo tragedia, co na jedno wychodzi; więc tragedia Józefa Nóżki nie polega bynajmniej na samobójczej śmierci czy niezrozumieniu przez środowisko. Faktyczną tragedią tego człowieka,

nie tylko jego zresztą, jest swoista wieloistość, że tak powiem. Zauważył pan, że dla żony, matki, siostry, dla każdego był kimś innym. Na dobrą sprawę każdy urobił sobie wizerunek Nóżki jeśli nie na obraz i podobieństwo własne, to w konfrontacji z owym obrazem. Malenka zabawa w domorosłych demiurgów. Ku pokrzepieniu serc. Zupelnie banalna historia, tak. Na pytanie: dlaczego? można odpowiedzieć tylko pośrednio, pytając kim był, a kim nie był Józef Nóżka, mógł wiedzieć tylko on, i tylko ewentualnie mógł, co też bardzo jest wątpliwe. Ale gdyby nawet, załóżmy, to i tak jest bez znaczenia. Ta gra już zakończona. Zakończona i przegrana, co, jak dobrze pomyśleć, na jedno wychodzi. Przestaje się grać, młody człowieku, z bardzo wielu względów — zmęczenie, brak sił, brak wiary, lek, za duża odwaga, siła, słabość, cała masa innych rzeczy. Ja zostawiłbym Nóżkę w spokoju. Po prostu wart jest tego, bo swoje zrobił.
— On tak.
— A my, ja, pan, inni? Panie drogi, wszyscy gramy na swój własny rachunek, sumowanie kosztów ma tylko sens społeczny, a nie o ten, jak się domyślam, panu chodzi, ten jest przecież jednoznacznie oczywisty. Zapytał pan, kogo cheesz...
Trzynastego lipca Józef Nóżka, syn Warszyna, urodzony 2.X.1923 r., żonaty, ojciec 3 dzieci, zamknął się w kuchni swego domu i jednym z przyniesionych z magazynowego kantorka noży poderznął sobie gardło, a drugi nóż, uprzednio podkasawszy starannie elastyczną koszulkę polo, wbił w okolice osierdzia. Śmierć nastąpiła na miejscu.



Rys. E. Inglot

W GRUDNIOWYM numerze „Poezji” znajduje się między innymi artykuł-manifest młodego poety warszawskiego, Krzysztofa Karaska, o bożym tytule — „Przez otwory strzelnicze ust”. Treść tego manifestu utwierdziła mnie w przekonaniu, że mamy oto do czynienia z jakimś nowym postfuturystycznym czy post-surrealistycznym ruchem poetyckim. Pojawiają się bowiem w tym artykule wizje pędzących gromad, tabunów ludzkich poganiane jak bieżym „symultaniczną wokalizą miasta”. W rozdręganym od furii demagogicznej frazach czytamy między innymi: *Czyż gazety, te wielkie współczesne poematy, nie mówią nam więcej niż dziesiątki tematów klasyków każdej epoki (...)* Czy wreszcie najpełniejszą muzyką nie jest symultaniczna wokaliza miasta, obejmująca swoim za-

powiększa tym samym do naturalnych wymiarów sprawy człowiecze dotknięte zaledwie i zaznaczone przez gazety codzienne w skali polityki i socjologii. Poczytajmy sobie jeszcze jakiś fragment manifestu Karaska: *Współczesny poeta, jeżeli chce objąć pełne pasmo jego losu, nie może pominąć w swym artystycznym ekwipunku zarówno lektur pierwszych stron dziennika, jak rubryk i wiadomości: spadek dolara na giełdzie jest równie ważny poetycko co wietrzenie metafor.*

Jesteśmy już coraz bliżej głównej intencji mojej polemiki. Tak, rzeczywiście utraciliśmy wzrok i słuch. Słuch — pod wpływem owej symultanicznej wokalizy wielkiego miasta, wzrok — przy wertowaniu gazet. Są ślepi i głusi, nie dociera do nich szept pojedynczego człowieka, potra-

Dwie ekstrapremiery

Dokończenie ze str. 6

Rezultat — daleko idące uproszczenia i wysterylizowanie rzeczy z jej finezyjnego humoru. Zabił owo nie uczyniły dialogu sztuki bardziej komunikatywnym, wręcz przeciwnie — jakoś go rozkojarzyły. Są, niestety, i dość liczne nieporozumienia (przykład: „J'ai mal au coeur”, co znaczy — „mam mdłości”, przetłumaczone: „boli mnie serce”).

Całkiem już wyjął z poezji i dowcipu teksty piosenek przekład Jacka Popiołka. Wyjątek stanowi parę udanych: „Zwyczajnych ludzi bójcie się, traktujcie kwiaty jak poeci”, czy też piosenka o testach: „Zostaniecie prześwietleni, nikt poglądów już nie zmieni”. Nawiasem mówiąc, nie dopilnowano dykcji śpiewających, co również nie służyło dobrej sprawie.

Pewne wady obarczają jednak sam oryginał „Różowej róży”. Oto najważniejsza: Claire-Lise Charbonnier nie chciała dla swej sztuki — jednostek, miały tam być li tylko „typy związane z całym kontekstem biurokratycznym”. Przy modnym dziś przekazywaniu różnych kwestii pierwszej lepszej z dramatis personae, otrzymaliśmy w wyniku jakiejś niewykończony twory — na wół schematy, na wół pospolitych ludzi, wygłaszających to i owo bez minimum konsekwencji.

Konia z rzędem temu, kto mi wyjaśni, kim jest w gruncie rzeczy stażystka Ewa, wypuszczona z niezbyt funkcjonalnej maszyny, i po co pętają się na terenie „przedsiębiorstwa florystycznego” „RÓŻOWA RÓŻA” hippiesi. Czy są Chórem przeciwstawionym rekinom — kapitalistom i czemu tedy nie poczyna ją energicznie, czy po prostu stajstują „na theatrum”?

„Różowa róża” nie ma fabuły. Zgodnie z życzeniem autorki, reżyser ułożył działania sceniczne w dziewięciu sekwencjach. Są to: 1. Nabór personelu przedsiębiorstwa, 2. Przedsiębiorstwo pracuje, 3. Przerwa obiadowa, 4. Wykrycie błędów: urządzenie sterownicze wypłuka Ewę, 5. Sny personelu, 6. Wypłata, 7. Biurokratyczna trójca: kierownictwo — technostruktura — struktura podstawowa, 8. Wejście w okres cywilizacji wolnego czasu, 9. Wyjście.

Niektóre sekwencje charakteryzują typowe dla nowoczesnej sztuki, zamierzone łączenie ekspresjonizmu, surrealizmu i nieco naiwnych układow rebusowych — z momentami naturalistycznymi. Szczególnie nasilenie chwytów naturalistycznych wystąpiło w sekwencji „Przerwa obiadowa”. Z tradycyjnego punktu widzenia, najczystszy jest styl sekwencji pierwszej, która skojarzyła mi się optycznie z malarstwem Miro. Niestety jednak, właśnie początkowe sekwencje rychło stępiły uwagę widzów nadmiarem tekstu, niekomunikatywnego, jak się rzekło, w polskim przekładzie. Najbardziej ekspresywną sekwencją w interpretacji scenicznej Guy Kayata okazały się „Sny personelu przedsiębiorstwa”.

Kayata lubi ruch, dużo ruchu, co zawsze popłaca w teatrze. Wątpliwości nasuwałaby tylko dzisiejsza tendencja do wprowadzania ruchu improwizowanego, gdyż zacieranie rysunku sytuacji zmniejsza czytelność treści. Toteż nawet łowcy analogii czuli się nieco sfrustrowani i niezadowolone słówko „Cambronne’a”,

przełożone na polskie precyzyjnie, nie zelektryzowało widowni.

Widowisko pokazano na tle wybitnie sugestywnej dekoracji (wg projektu Marka Helda) — ciemnej superstruktury z szuflad, symbolizującej nacisk biurokratycznego administrowania na mózg człowieka.

Nieco rozjaśnia mroczną aurę przedstawienia muzyka François Terrala, który nie zapomniał, że w zamierzeniu autorki „Różowa róża”

(Chór) wykonali sprawnie niewdzięczne zadania postaci schematycznych. Szczególnie wyróżnić należy Danutę Borowiecką (pianistka, pani Durand), wyłamującą się ze schematu, i Wandę Wieszczycką (Mademoiselle) — monolog jej, w którym zabrzmiała żywa ludzka skarga, nagrodziła publiczność gorącymi oklaskami.

W sumie, mimo poezynionych tu przeze mnie uwag krytycznych, jestem głęboko przekonana, że dalsza współpraca Teatru im. J. Osterwy z paryskim „Teatrem 71” da obu stronom pełną satysfakcję.

Ostatnio odbyła się nowa, niebanalna premiera Teatru im. J. Osterwy na scenie „Reduty 70”. Tytuł interesującej prezentacji tym razem brzmi: „Życie w mojej dłoń”.

Scenariusz Kazimierza Brauna wykorzystuje teksty — Artauda, Gordona Craiga, Mickiewicza, Hannah i Abrahama Stone. Wykonawcy: Roman Kruczkowski (Lekarz), Kazimierz Borowiec (Pierwszy).

Polemiki

O młodych poetach, którzy utracili wzrok przy czytaniu gazet a słuch od zgiełku ulicy

Józef Baran

sięgiem zarówno loskot przejeżdżających tramwajów i pisk samochodowych opon... (...) Czyż prawdziwe, wolne, by nie rzec — najbardziej demokratyczne malarstwo naszej epoki nie realizuje się na słupach reklamowych, na płotach, na chodnikach?

Abstrahując już do faktu, że nie nowy to pomysł z tą nobilitacją produktów urbanizacji, gdyż przywołał natychmiast na myśl futurystyczne dążenie do stworzenia „sztuki przyszłości” i wyrażania nowych treści, tzn. piękna maszyn, tempa życia, jednoczesności różnych wrażeń itd. — abstrahując więc już od tego wszystkiego, co w parę lat później przybrało postać fałszywego bożka Baala — zatrzymajmy się przy paru banalnych stwierdzeniach: po pierwsze — fetyszycyzm „miasta, masy, maszyn” niechże nie przesłania nam prawdy mówiącej, iż tak mało zmieniło się w świecie ludzi, w sferze duchowej, w stosunkach międzyludzkich, że te same problemy fraowały umysł ludzkości ongiś i fraują dzisiaj; po drugie zaś — mimo zalewającego nas zewsząd maszynizmu człowieka, autor tego postępu, będzie zawsze jedynym przedmiotem zainteresowania sztuki. Maszyna może stać się wyłącznym „bohaterem”, ale tylko podręcznika „fachowego”, opisującego jej budowę.

Stwierdzenia te, jak rzekłem już, nie są żadną rewelacją. Do takich samych wniosków doszli przecież w późniejszych latach sami poeci awangardy. Także hymny pochwalne składane przez Karaska gazetom codziennym przypominają nam przedwojennego Peipera, autora tomu wierszy „Kronika dnia”. Karasek nazywa gazety codzienne współczesnymi poematami. O ile dobrze zorientowałem się — w dalszej części artykułu pragnie on, by poezja współczesna walczyła o lepsze z tymi współczesnymi poematami. Tymczasem odkąd wyobraźnia poety przestała być wyobraźnią epicką, odkąd radio, prasa, telewizja odciążyły ją od zadania informowania, anachronizmem jest dopominać się, aby poezja odgrzywała, jak za dawnych dobrych wieków, tę dokumentalną funkcję. Równocześnie jednak fakt ten wcale nie świadczy o wyższości gazet. Efemeryczność ich treści, zadowalanie się jedynie płytką faktografią przyczyniło się do tego, iż gazety spełniają rolę podobną do tej, jaką spełnia mapa z zaznaczonymi na niej granicami, miejscowościami, rzekami. Mapa — rzecz pożyteczna i praktyczna szczególnie w szkole, na lekcjach geografii, ale nawet dzieci wola od mapy — wycieczki. Wola podróżyć i własnymi oczyma oglądać owe miejscowości i eksponaty natury.

Podobnie z literaturą i całą sztuką. Jest — by tak rzec — pojazdem obwożącym ciekawych po krajobrazach ludzkiej psychiki. Odkrywa i

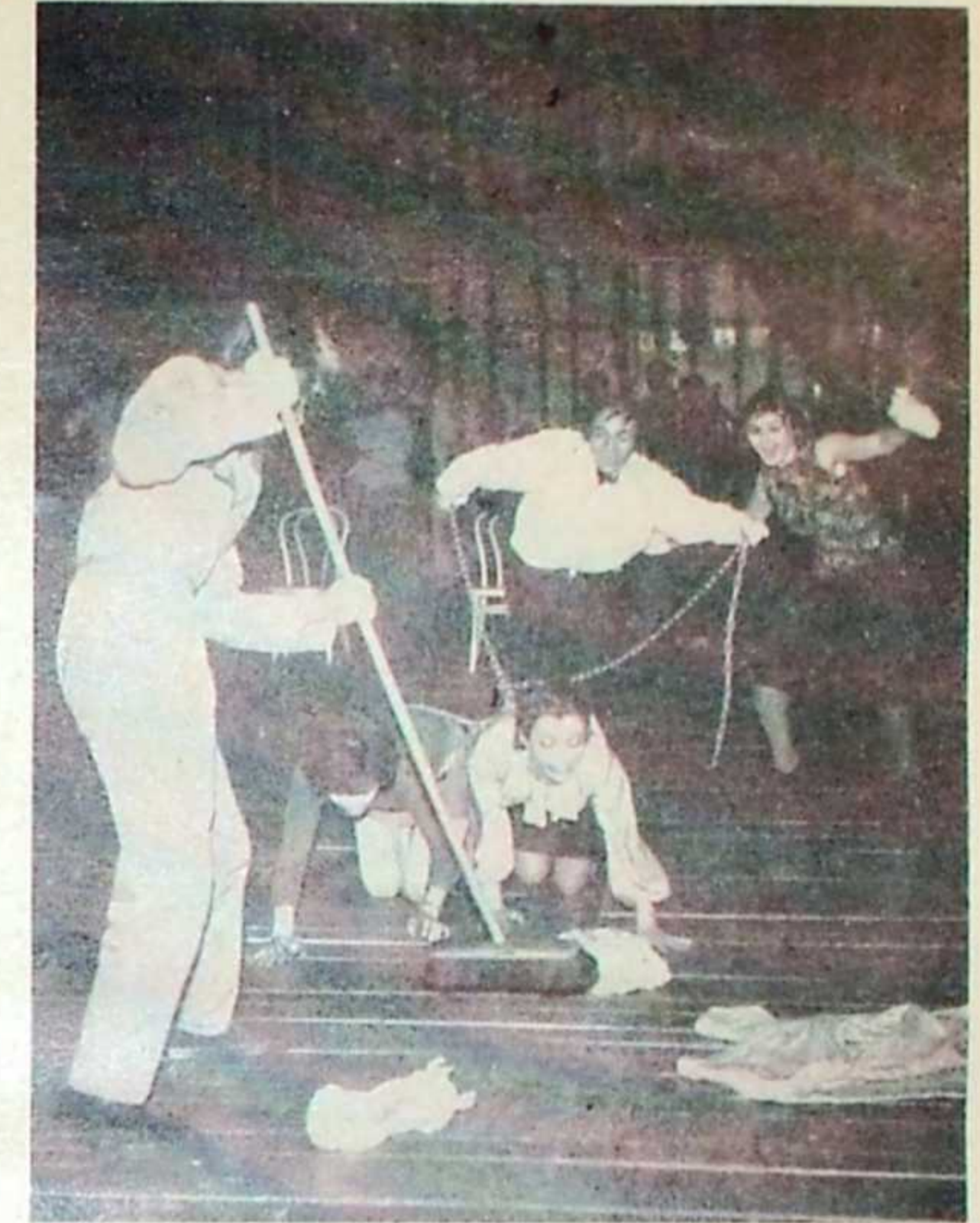
fią dosłyszeć dopiero loskot mas. Są ślepi i głusi, jednak zaległości te nadrabiają inną cechą. Są mianowicie bardzo „mowni”. Potrafią mówić i mówić, doszli do takiej perfekcji, iż mówią — nie patrząc i nie słysząc...

Protagonistą tych młodych poetów jest Krzysztof Karasek. On i inni, wśród których na szczególne wyróżnienie zasługuje Jarosław Markiewicz, stają się coraz bardziej poetami — socjologami, coraz mniej poetami — psychologami. Nie interesuje ich jednostka ludzka, ale społeczność. Zamiast czerpać wiadomości o świecie, idąc naturalną drogą biegnącą od konkretnego do ogólnego, próbują czynić odwrotnie. Inspiruje ich zewnętrzny rytm świata zarejestrowany w doniesieniach prasowych i radiowych. Myślę, że jest to niebezpieczeństwo, które zagraża temu nowemu, dopiero co tworzącemu się pokoleniu.

Pokolenie 70, zapowiadane jest od kilku czy kilkunastu miesięcy przez krytyków młodszej generacji, a także i przez starszych, np. Jerzy Kwiatkowski pisał w nr. 5 „Poezji”: *A zatem — mamy w młodej poezji nowy ruch (...)* Mowa tu zwiastuje o tendencji, która wydaje się obecnie zwyciężać wśród poetów zgrupowanych wokół warszawskiego czasopisma „Orientacja”, a która najściślej bodaj wiąże się z nazwiskami Krzysztofa Karaska i Jarosława Markiewicza.

Jednak grozi temu pokoleniu choroba o objawach bardzo zbliżonych — pomimo pozorów — do objawów choroby poprzedniego pokolenia poetyckiego, Pokolenia 60. Wiele mówi się obecnie o winie, jaką ponosi tamto pokolenie za rozbrat z odbiorcą. Przyjrzyjmy się wszakże, jak poczynają sobie obecnie poeci spod znaku Karaska — co zrobili, aby temu rozbratowi zaradzić, jakie poczynili kroki ku poprawie niezdrowej sytuacji? Dojdziemy do wniosku, że, niestety, nie się nie polepsza w tej materii. A przecież Krzysztof Karasek podobno ma takie ambicje. Piszcie przecież: *Funkcją poezji jest organizowanie krajobrazu słów i myśli człowieka (...) w domu, w fabryce, na ulicy, w bibliotece, w kinie, podczas pracy i odpoczynku, w chwilach zabawy i walki, w dziełach powszedni i święta, w podróży i w domu, w drodze i we śnie towarzyszyć mu i płonąć razem z nim.*

Dalibóg, ten „poemat krytyczny” Karaska przypomniał mi socrealizm w najczystszej postaci. W tamtych czasach twórcy znali również rzeczywistość tylko ze sloganów naprędce montowanych, choćby właśnie z gazet codziennych... Bohaterem literatury był wtedy „papierowy robotnik”, niły jednostka, ale w zasadzie ulepiona na obraz i podobieństwo owych sloganów. Nie było wtedy w literaturze autentycznego, pojedynczego człowieka — ale beżmierna masa ludzka... Do którego konstruktynowego to wówczas nie doprowadziło i do którego nie doprowadzi obecnie.



Claire-Lise Charbonnier — „Różowa róża” Jerzy Schejbal (Ipso facto), Ewa Kanis (Cleo), Wanda Wieszczycka (Mademoiselle), Paweł Nowisz (Dedupont), Danuta Borowiecka (Pani Durand).

Foto W. Parys

miała być komedią muzyczną. A więc obok poważnych pieśni, ułożonych przez kompozytora na modłę songów Weilla i Dessaua, słyszymy rytm „młodzieżowe” i przepletne arie, jakby inspirowane przez wielkiego impresjonistę, Debussy'ego. Ślicznie wykonała je anonimowa sopranistka — wprowadzenie tej „abstrakcyjnej” postaci było doskonałym pomysłem.

Aktorzy: Jerzy Schejbal (chłopiec do wszystkiego), Ewa Kanis (maszynistka Cleo), Paweł Nowisz (woźny Dedupont), Józef Onyszkiewicz (stażystk Mesure), Piotr Wysocki (archiwista Lesouriceau), Zbigniew Szejtman (agent reklamowy Joel Joly), Karol Siedlecki (psychosocjolog, reprezentant władzy centralnej Pan Zygmunt), Ewa Wolf (stażystka Ewa), Barbara Wronowska, Maciej Polaski, Sylwester Woronicki, Henryk Sobiechart, Piotr Suchora

Zbigniew Górski (Drugi). Reżyseria i inscenizacja Kazimierza Brauna przy współpracy zespołu.

Więcej nie mi, niestety, zdradzić nie wolno, albowiem w danym wypadku mamy do czynienia z happeningiem, a jak wiadomo, opisując happening puje się „zabawę” dalszym widocz. Dość gdy powiem, że owo „zdarzenie teatralne” pobudza do rozmyślań i żywej dyskusji — nie tyle chyba nad sprawami zasygnalizowanymi przez tytuł, ile nad problemami dzisiejszego teatru. Na cytaty zaś zawarte w programie pozwolę sobie odpowiedzieć — cytata (z eseju krytyka sztuk plastycznych, Jean Leymarie): *Żadna formuła artystyczna nie może być usprawiedliwiona ani pojęta sama w sobie, wartości jej zasadza się na wartości dzieł, które ją wspierają.*

Maria Beechyc-Rudnicka



HENRYK MAKARSKI jest poetą w randze podporucznika, co pisze nie dla określenia walorów jego poezji, lecz dla określenia jego rangi w lubelskiej KW MO, gdzie pracuje zawodowo. Urodził się 17 VIII 1946 roku w Białej Podlaskiej. W 1969 roku ukończył filo-

logię polską na UMCS w Lublinie. W czasie uniwersyteckich nauk związał się ze studentkim klubem literackim „Kontrapunkt”, który pod tym samym tytułem wydawał kolumnę przy „Kurierze Lubelskim”. Makarski zadebiutował właśnie na łamach „Kontrapunktów”. Publikował również w „Studencie”, „Barwach”, „Regionach”, „Kulturze i Życiu” (dodatku do „Standardu - Ludu”), „Głosie Młodzieży” i w „Kamieniu”. Od czasów studiów związany z ruchem KKMP, jest ostatnio współredaktorem „Zapola” — kolumny Klubu na łamach „Kamienia”. Jeśli idzie o inne zajęcia artystyczne, to — jak powiada — śpiewa przy goleniu, a kiedy nawet występował w chórze akademickim. Ma złożony tomik wierszy w Wydawnictwie Lubelskim. Jako poeta rozpoczął od przekazywania nastrojów sielskich krajobrazów metodą nieco „słowiarską”. Ostatnio w jego poezji przewija się ton radiowej rozprawy ze światem.

MP

słowa * * * są tylko transparentów gestem okrągłym szeptem na odległość dłoni najczęściej kiedy nam rachunek niesie północ kelnarka za dojrzałość doby

bywa czasami ktoś odstawi krzesło i twardość ziemi pocujemy nagle podszewka stalu gnojem parosnięta drugą stroną medalu naprężonych żagli

staje się w naszych oczach

jak szczyry przyjaciele odchodzą bez słowa zeszłorocznym śniegiem topnieją przetrzeni na wszelki wypadek a ja nie jestem tonącym okrętem jeżeli nawet czymś jestem to staroświeckim balonem który lżejszy o kilka worków błota płynie ku słońcu

DYJA niespokojnie spojrzal przez okno, czy ktos nie zdaja w kierunku hotelu w to gnuśne, niedzielne popołudnie, które tego dnia sparaliżowało całe niemal miasto. Był to jeden ze starszych hoteli robotniczych w tym mieście i gdyby jego mury miały mówić, starczyłoby tego na kilkadziesiąt ludowo-demokratycznych „Sag Forsytów”. Tego popołudnia w mieście odbywał się mecz na szachy drugoligowym. Drużyna była bogata, finansował ją wielki zakład przemysłowy, ostatnio zakupiono kilkadziesiąt zawodników z innych miast, ku dobrych zwycięstwom. W pierwszej ligi stawała szansa na wejście do pierwszej ligi stawała się coraz realniejsza wiadomość, jest bogaty zakład, to jest i dobry klub — za dobry wyjazd trzeba teraz dobrze zapłacić. Z powodu niedzieli i ważnego meczu miasto opustoszało, dlatego Dyja zamknął portiernię i też siedział jak zwykle w niedzielne popołudnie w pokoju, który stary Iwańczuk dzielił między innymi z młodym muzykiem, tak młodym, że jeszcze wojska nie zaliczył, chociaż swoje doświadczenie życiowe już miał. To Dyja uczył nowicjusza i umiał im życie sprzedając w portierni wódkę na lewo i na prawo, dlatego pierwszego każdego miesiąca zdarzało się, że taki młodzik jeden z drugim całą pensję musiał mu w zębach przynosić. Ale taki on już był — przez całe życie nie żałował, ani też prawdy nie powie — jak mówił sam o sobie. Bo też umiał znaleźć sobie miejsce wśród ludzi, towarzyszył — jak się zasmucił, to za jedynym zamachem zmiescił w tym smutku swoim troski z dziesięciu lat, a jak się roześmiał, to naśmiał się za jednym razem za pięć lat z okładem. To w nim można było podziwiać — nie nie miał, a nie czuł się bankrutem. Czasem tylko tęsknota go nawiedzała, ale tęsknota tak prosić, że nadawałaby się na krótkie, coś z tego, że ciężkie westchnienia. Miał w sobie optymizm dziecka — dostał przecież w darze od życia dużo trosk, ale natura sprezentowała mu za to bardzo mało nerwów — czyli rzecz można sprawiedliwie. Różnił się bardzo od Iwańczuka, o którym można by rzec, że to najrobotniczy chłop na całym kontynencie euroazjatyckim. Urodził się na wschodzie w małym domku, który wyprawił w wielki świat wielu mężczyzn i wiele kobiet. On też nie był nerwowy, puls gramolił się niespiesznie przez jego tętnice i od dawna żył w przeswiadczeniu, że troski wszędzie, te same i można je zasadzić na każdym nowym skrawku ziemi. Niczego szczególnego przecież w swoim długim życiu nie dokonał, żadnego czynu wielkiego nie zaliczył, życiorys mu się zamazał w jedną ołowianą, szarą plamę. Czasem tylko przypominał sobie swoje życie, jakby ono nie było jego, jakby ktoś mu je opowiadał. Może działo się tak dlatego, że samotność jego była tak wielka, że nie miał nawet grobu, na którym mógłby zapalić świeczkę w dzień Święta Umarłych? Z biegiem lat zatracił tylko śpiewność swojej mowy, jak i Dyja, który sam powiedział, że z tymi wyszczotkowanymi wąsikami jego gęba nadawałaby się w sam raz do piketki, też stracił wiele z lwowskiego akcentu i nie wiadomo już było, czy z niego Ślązak, Góral, czy wręcz Wielkopolek równinny. Iwańczuk więc był człowiekiem samotnym, chociaż — jak kiedyś wspominał — jeden szlachcic na Podlasiu widząc jego robotność i umiejąc to ocenić, chciał go ożenić ze swoją córką — dziewczyną piękności wielkiej i z gospodarstwem bogatym, ale on przefurzył to wszystko, no i takim wólcę-powsinogą się został. Później już okazało się, że ożenku mu się nie trafiało, skoro przez dwadzieścia lat w żadnym prywatnym domu na zaproszenie nie był. Różni ludzie mu się w robocie trafiali, ale z nikim przyjaźń nie wyszła i z nikim żaden koleżeński interes.

— No to, Iwańczuk, gadaj co mam pisać — powiedział Dyja przygotowując papier i ołówek, — należy ci się kwatera od miasta, czy się nie należy?

Iwańczuk z zakłopotaniem wskazał muzykanta ćwiczącego na klarnecie jakiegoś pokrętnie, ciągnącego się jak ślina tango. Granie w myśleniu mu przeszkadzało. Do spania też wolał mieć ciszę. Jak kiedyś nieboszczyka brata odwiedził, to prosił, żeby na noc zegar ścienny wyłączyć, bo on od tego tykania spał nie może. Muzykant ćwiczył swoje kawałki, bo grywał w orkiestrze amatorskiej na wieczorkach tanecznych w świetlicy hotelu, gdzie stał zepsuty telewizor, a do ping-ponga tylko jedna rakietka była, bo druga ktoś skradł — taka kradzież właściwie bezinteresowna, z odruchu, z przyzwyczajenia. Muzykant odjął od ust klarnet dla nabrania oddechu. Iwańczuk próbował myśli zebrać, bo cisza akurata nastala.

— Należęć mnie się niejedno należy — powiedział Iwańczuk, — o mnie ludzie nie raz mówili, że głupi szuka roboty, a robota głupiego...

— Ale przecież nie Boga będziemy upraszać łaski dla nas pracujących, tylko naszą władzę — zaczął się Dyja, poprawiając druciane okulary na nosie, które zostały mu z czasów, gdy tuż po wojnie został pierwszym burmistrzem w pewnym mieście nad Sanokiem. Gdy w połowie stycznia czterdziestego piątego roku weszli Ruscy, to przysła do niego delegacja siedemdziesięciu robotników jacy pozostali na miejscu i powiedzieli — panie Dyja, burmistrza nie ma, a pan masz rękę do rządzenia, to rządź pan. A Dyja na to — poczekajmy parę minut, aż będzie ósma, urzędowa godzina, bo przyszedł do niego skoro świt, a jak urzędować, to z pełnym szacunkiem i z wszelkimi szanami — takiego był zdania. I w pierwej w rozbitym, żydowskim sklepie znalazł sobie okulary, bo co to za władza bez okularów...

— Do urzędu mieszkaniowego przy wysokiej, miejskiej radzie — wykwalifikował, widząc nadzwyczaj skupioną minę Iwańczuka.

— No to gadaj, Iwańczuk.

— Przez bliżej dwadzieścia lat budowałem, no i co mi z tego budowania wyszło? — akuratnie cedił słowa Iwańczuk. — Mieszkam teraz w hotelu robotniczym, a piętrze drugim, w pokoju dziewięćdziesiąt cztery, mam łóżko przy samych drzwiach,

zle naoliwionych, bo często skrzypią do nie-możliwości. Należy do mnie trzecia część sto-łika i trzecia część szafki, co ją teraz na kłódkę zawieram, bo mam w niej kurtkę przeciwdeszczową i marynarkę, buty i sandały letnie, cukier, sól, chleb i inne jedzenie. A zamykam na klucz, bo kiedyś szafkę zostawiłem otwartą i buchnęli mnie stamtąd parę prezentów, co miałem zawieźć do brata w Związku Radzieckim żyjącego. A tak prezenty buchnęli i nie pozostałem, i na tamte święta też w hotelu pozostałem.

— Co to pan, o złodziejstwo nas posadzysz? — obruszył się muzykant, który dzie-łił ten pokój z Iwańczukiem wraz z lastricarzem z tej samej budowy nazwiskiem Staniec, był on jednocześnie działaczem sportowym niższego szczebla i w to niedziel-ne popołudnie sprzedawał bilety wstępu na stadionie.

— Tu kradzież zdarzyła się jak mieszkalem pod dwunastką, na samym dole — wyjaśnił Iwańczuk. — Milicjant przyjechał i nic. Obiecał, że jeszcze przyjedzie, ale nie przy-

jechał. Panie, kto by się o taką łajzę jak ja dopominał? Nieraz mnie okradli. Na budowie to mi buchnęli z worka waciak. Już nie o ten waciak chodzi, bo dali drugi, ale czemu to się takiemu baciarowi taka rzecz do ręki klei, jak ona nie jego?...

— Mało kapujesz, Iwańczuk — powiedział Dyja. — My nawyki sabotażu mamy wyhodowane w sobie jeszcze od okupacji. Ja Niemcom tak krwi napsulem we Lwowie, że nad Sanok musiałem uciekać. A tak mnie ludzie za tamte lwowskie sabotaże szanowali, że tylko mnie chcieli wybrać na burmistrza, jak się wojna skończyła. Ale czym tam było rządzić? Niemcy na odchodnym miasto podminowali, ulicę benzyną oblali, no i poszły z dymem kamieniczki stare, niektóre w marmury zdobne i w szkła weneckie, gimnazjum przez dwadzieścia lat budowane z obywatelskich składek i Kościuszko w parku, i św. Nepomucen na rynku. Za mojego burmistrzowania dałem tylko jednej parze ślub, sytuacja tego wymagała, panna młoda była z brzuchem, trzeba się było śpie-szają, bo mimo wojny ludzie i pieśni składa-ją, i wiersze piszą, i dzieci robią. Dałem im ślub w grzebalnej kaplicy na tle kata-falki, a sam się tutaj puściłem, na zachód. I pierwsze miasto tutaj na zachodzie, gdzie się zatrzymałem, nazwałem tak, jak się na-zywało to moje miasto nad Sanokiem, gdzie byłem burmistrzem. Ale do sprawy, Iwań-czuk, dyktuj to podanie...

— Ja już dwa razy w urzędach pisma składał — z trudnością zaczął kleić zdania Iwańczuk — żeby mnie dać mieszkanie ma-łe, bez luksusów żadnych, bo ja do luksusów nie przywykłem, albo choćby pokój kwaterun-kowy z takim jak ja dziadem — emerytem, bo tutaj w hotelu młodziki jeszcze, przed poborem, w noce przychodzą, to i słów paskudnych używają, a mnie na co taki cyrk na stare lata?

— Znowu jakieś żale? — ostro wtrącił muzykant.

— Chodzi mnie o to, że wy przecież dzieci dla mnie, i że ze mną starym dla was, że me-żczarnia — tłumaczył się Iwańczuk. — Jak ja mówię, żeby wieczorem głośnik zgasić, to wy mówicie, że przy głośniku wam smacz-niej spać, a ja się przewracam na jeden i na drugi bok, a sen wtedy nie przychodzi...

— Już dobrze, dobrze — wzruszył ramio-nami muzykant. — Piszcie tam, piszcie, co macie pisać...

— Piszcie, piszcie, a są tacy, co pisząć umięją, a napisane nie potrafią — rozsiadł się Iwańczuk. — Dziś dużo uczonych, a ma-ło nauczonych. Jak prosiłem jednego inżyniera, żeby mnie podanie o urlop napisał, to powiedział, że napisze po pierwszym ma-ja. I co? Do dzisiaj nie napisał.

— To pan sam liter nie rozróżniasz? — roześmiał się muzykant.

— E nie, drukowane to rozróżniam — usprawiedliwił się Iwańczuk — a najlepiej to w mojej starej książce do nabożeństwa. Dwa razy już dałem ją w nową skórę oprawić i na pamięć całą umiem — westchnął Iwańczuk i rozejrzył się po tym pokoju urządzonym w stylu kombatancko-klezmerskim. Na ścianach wisiały rytygrafy z „Matką Boską Ostrobramską”, obraz „Chrystus nau-czający z łodzi” w kolorach tęczyowych, por-trety księcia Józefa i marszałka Piłsudskie-go. Te pamiętki włożył ze sobą Iwańczuk przez kawał świata, bo w Boga i w Pił-sudskiego żarliwie wierzył kiedyś jego brat, który z licznego rodzeństwa zaszedł najwy-żej, bo był najmłodszym wóznym w Uni-wersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie, a teraz mieszkał w Kanadzie, pracował jako posługacz w wielkim szpitalu w Toronto i, jak pisał, zarabiał cztery dolary za godzinę. Dlatego Iwańczuk często mawiał sentencjonalnie — kto włożył, ten bogaty, myśląc o swoim bracie, który był owłosiony jak jaki zwierz. I tak te pamiętki sąsiadowały ze zdjęciem Niemca — własnością muzykanta i obok wizerunku Lubuskiego skła-dającego się do strzału, który należał do Stanca.

— Ty świećki życiorys mi dyktuj, a nie religijny, bo nie przyjmą w urzędzie — rzucił przestrogiem Dyja, bo on się znał na rzeczy i z urzędowymi sprawami był za pan brat, a dlatego, że był obrotny i wygadany, to osiem lat temu pierwszemu sekretarzowi chleb i sól wręczał na uroczystych dożyn-kach.

— No bo... ja ze wsi wyszedłem, ale w rolnictwie mało pracowałem — znów z trudem zaczął Iwańczuk. — Zawsze przeważa-łem jako robotnik, przy tartaku, w kanali-zacji i gdzie bądź. W czterdziestym piątym roku jak ja się telepał zza Buga, to pociąg do samego Wrocławia jeszcze nie dochodził, tylko do przedmieścia. Kiedy stanęliśmy na Psim Polu, to ja wyszedłem na to morze gru-zów i z ludźmi rozmawiał, a ludzie mówili, że tego milion robotników nie odbuduje, bo jeść nie ma co i odpocząć nie ma pod jakim dachem. Ale pomyślałem, co ja się będę dalej po świecie katował, zostanie. Pewnie, głupi szuka roboty, a robota głupiego. Pierwszą moją robotą była robota grabarza. Trzeba było pochować kilka tysięcy żołnie-rzy, co to polegli na forsowaniu rzeki, a trumien nie było. Niektórych owijano w jakieś pierzyny i chowano. Trupy przewo-ziliśmy jednym żółtym tramwajem jak ja-kimś karawanem. W mieście było niespo-kojnie. Niemcy jeszcze wyłazili z nor i bili się z naszymi. Przyjeżdżali też nowi ludzie,

ziemię ze swoich stron przewozili i sypali ją na kłęczkach, na tę nową ziemię. A na polach osty tej jesieni rosły ogromne, krze-wiaste, puch leciał z nich kilometrami niby śnieg jaki, albo mgła wielka. Jak ludzi pogrzebaliśmy, to trzeba było niemieckie pomniki wywracać, a niektóre tak ciężkie by-ły, że konie trzeba było do nich brać...

Dyja zamyślił się, przestał notować, ostre igielki wspomnień zamigły mu w oczach. Zaczął ochoczo bębnić palcami po stole.

— W tym czasie to ja też byłem pionier — uśmiechnął się na to wspomnienie Dyja. — W pierwszym swoim miasteczku na zachodzie aż sześć knajp uruchomiłem, a jedna, najlepsza, nazywała się „Kakadu”. I ja by-łem udziałowcem w interesach tej knajpy. Do mnie ludzie przychodzili na śledzia z-robionego na „Kipersa” — moczogę w ko-rzonnej przyprawie, a dopiero później węd-zzonej. Przy tej metodzie ryba jest kro-jona na pół, kręgosłup wyciągany i ości, słowem — ryba jest wędzona od zewnątrz i od wewnątrz. Palce lizać. Bogaty byłem wtedy, miałem funkcję przy podziale i trans-portcie paczek UNRA. Ręce jakby mi się wtedy w miodzie wysmarowały, wszystko musiało się do nich przyklejać. Wypadło to akurat na czas, kiedy dwa hasła w modzie były: „trzy razy tak” i „koniec szabru”. Z tym drugim hasłem jakoś się zgodzić nie mogłem, to i posiedziałem trochę czasu na bezpiecie.

— Jeden chłopak z moich stron wygrał kupę forsy w Toto-łotku — znów wtrącił muzykant. — A potem, kiedy się bawił w lokalu, zatykał muzykantom setkami i pięć-setkami trąby. Dmuchaćcie, kochani, mówil im, jak wydmuchacie to wasze. Forsa młodym i starym we łbie przewracała.

Dyja spojrzal na niego, poczuł się na mo-ment obrażony, ale muzykant znów przy-tnął klarnet do ust i zaczął ćwiczenia, dla Iwańczuka dźwięki te były niczym uklucia ostrym narzędziem, ale nie protestował, dał spokój. Za to Dyja warknął na niego: — No to dyktuj, ja ci robię tę grzeczność, że ci to podanie piszę. Tylko bez poezji żad-nych. Mów jak to z tym budowaniem było, akuratnie i konkretnie, bez zmyśleń.

— Na początku to ja wapno gracałem. Dwóch robotników nie mogło tej robocie po-radzić, a ja sam jeden dałem radę. Chociaż często jedzenia nie było i ludzie z głodu padali jak zwierzęta jakie w ciężkie mrozy. Bo ja zawsze tak robię, jakby u swojego ojca pracował, a nie na robocie państwo-wej. Do roboty jestem szczerzy, silny i głupi, jak ludzie mówią, dlatego szybko dyplomem przodownika się dorobiłem. Potem robiłem w transporcie, jeszcze potem w stolarni, na różnych budowach robiłem, dużych jak ta i na mniejszych też, i zawsze szczerze ja pracował, a nie jak drudzy, co tylko patrzają, żeby inny za nich robotę załatwił, tylko do zapłaty są współnicy. Nieraz, jak któryś spły-ty na budowę przyszedł, to mówili, niech pości, a ja trzeźwy musiałem robić, tak mnie wykorzystywali, a najgorzej w poniedziałki, bo po niedzieli wytrzeźwieć nie mogli. Ja nigdy nie piłem, bo ojca miałem, co po jednej butelce już całkiem rozum tracił, ale może ja by lepiej w życiu miał, gdyby pił, bo po wódce i koledzy są i kobitę można sobie przygruchać, a trzeźwy człowiek to dla ludzi wcale jak nie człowiek, nie lubią trzeźwych i już.

— Trochę prawdy w tym jest — zgodził się Dyja. — W parę lat po wojnie, przy gorzale poznałem gościa o takim jak ja nazwisku. Gadu, gadu i znaleźliśmy wspól-ny język, żeby utworzyć przedsiębiorstwo pod nazwaniem „Bracia Dyja”. Wyszuka-liśmy na zachodzie stary młyn, uruchomi-liśmy. To było życie, ludzie chleba potrze-bowali, forsa szła do nas strumieniem. W tysiąc złotych ja kelnerom na czołach przy-klejałem, jak do miasta na zabawę zje-chałem. Potem młyn nam upaniństwowili, ale co przez parę lat użyłem, to użyłem — roz-wspominał się znów Dyja, ale czy ktoś mu kiedykolwiek do końca uwierzył? Przecież sam nieraz o sobie powiadał, że nigdy w życiu nie żałował, ale też i prawdy nie po-wiedział.

— Z pana taki człowiek, Dyja, że przez jedne dwadzieścia lat możesz pan być mi-nistrantem, a przez następne dwadzieścia milicjantem. Bez różnicy, no nie? — dociał muzykant.

— Zapamiętaj to sobie, synku, że pod tramwaje i samochody najczęściej wpadają ludzie biedni. Dlatego hałem się biedy, cho-ciaż ona mnie się nie bała i na koniec dopadła mnie, trzymała mnie w garści cholera jedna — gorzko stwierdził Dyja i podostrzył nieco ołówkę, bo chociaż towarzyski był z niego człowiek, to i jego samotność nie oszczędziła. Dwa lata temu zakochał się w kierowniczej stołówki, ale ta baba okazała się złodziejką. Przez dwa miesiące karmiła robotników tylko smażoną kaszanką, przez ten czas piękne futro sobie kupiła, potem struła ich starymi fiakami i tym przebrała miarkę. Było dochodzenie, wyrzucono ją na zbyty łeb. A Dyja kochał ją ponad wszelką wątpliwość, ubierał się starannie, by zwró-cić na siebie uwagę i na jej widok czesał siwąwą czuprynę aluminiowym grzebykiem.

— No to dyktuj Iwańczuk, co masz do dyktowania. Żeby teraz tacy jak ja bur-mistrzowie byli, z taką dobrą wolą i z taką człowieczą powagą, to od razu był mieszka-nie dostał — dodał ze smutkiem Dyja.

— Pracowałem ja jak głupi i czego się dorobił? Po pracy przychodził, to ręce i nogi nie chciały mnie słuchać po takiej ciężkiej harówce. Dopiero teraz, na rencie, mogę so-bie jako tako pochodzić, jak człowiek — westchnął Iwańczuk, bo istotnie, lubił od-spacerować, lubił pójść do lasu, między któ-rymi nie dostrzegł żadnej różnicy, nie umiał ich oddzielić od siebie. Lubił pocho-dzić legami nad Odrą, gdzie pasą się kro-wy, ale i wólcęga niedzielna po mieście nie gardził, bo latem dla niego i wielkie miasto czasem zapachniało sianem, przypo-minając mu rodzinne strony i pszczoły koło domu w ulach pomalowanych ultramarzyną. Wtedy miewał tylko małeńką pretensję do miasta, był zdania, że chociaż jeden dom mógłby tutaj być kryty słomą, a nie da-chońką. Tak, lubił chodzić tymi ulicami, z których kilkanaście sam wybudował, a które ochrzczono teraz nazwiskami i imionami dobrze już odleżałych nieboszczyków. — Renty mam tysiąc złotych z groszami. Za to mieszkam, jak ja poszedł na emeryturę, przedsiębiorstwo płacić przestało. Wtedy pan kierownik mnie wezwał i mówił — nie bę-dzie panu krzywda płacić za dzień dwa i pół złotego? Czemu to niby miałoby mnie być za dużo? Czy to ja dziać jakiś całkowity, czy co? Płacę teraz siedemdziesiąt pięć zło-tych, kiedy miesiąc ma trzydzieści dni, a siedemdziesiąt siedem i pół złotego, kiedy miesiąc ma trzydzieści i jeden. Pewnie, dużo to nie jest, ale toż to trzecie piętro i tylko trzecią część szafy mogę używać. Namawiali mnie, żeby wziąć pólęta, ale mnie tam moja renta wystarczy. Dużo jest — rozleździe się, mało jest — obejdzie się. Głodu nie mam, obdarty też nie leżę, ale chciałby ja mieć własny kąt, bo po różnych kwaterach ja się już wycierał, czasem po sześćdziesię-ciu chłop na sali bywało, to w każdą noc nie obeszło się bez wódki i bez bójki, a i kurwy stare musowo też bywały. No i tak mnie na koniec wyszło, żyły ja z siebie wypruwał, żeby różne miasta budować — Wrocław i parę mniejszych miast, w których ja na dodatek wielkie fabryki stawał, a swojego życia w żadnym mieście nie zbu-dował i w żadnym swoich korzeni nie za-puścił. I sam nie wiem, ile ja dla ludzi teraz wart, bo mnie niedawno jeden mło-dzik powiedział — tyleś wart, stary, ile masz w kieszeni.

Muzykant nagle grać przestał, podszedł do szafki, otworzył swoją część, od wewnątrz na drzewkach wisiała brezentowa kurtka z karczkiem z skóry, którą kupił od jednego ormowca i której w ten sposób strzegł trosk-liwie przed kradzieżą, jak Iwańczuk swoje rzeczy. Wyjął nadpita ćwiartkę wódki i ka-wał podgardlanej.

— Słuchajcie, dziadkowie, ja już idę, ma-cie tutaj, podgardlana całkiem jeszcze świe-żana i wypić goźdźcie do dna, bo ja po tym klezmerowaniu będę miał lewy poczęstunek, po co to się ma zmarnować? — powiedział stawiając butelkę i kielbasę na stole, tuż obok brudnopisu podania, nad którym bledził się Dyja z kopiowanymi ołówkami: zapi-sywał nim swoje urzędowe papiery w por-tierskiej służbie. — A to podanie albo rzuci-cie w czorty, albo zmieńcie adres. Mieszkania i tak nie dostaniecie. Chyba spóźniecie, ale po co panu, panie Iwańczuk, taką kupę forsy zbierać, żeby ją potem wyrzucić...

— No to do kogo podług ciebie mamy pi-sać podanie o kąt dla Iwańczuka? — spytał Dyja, który mieszkał w hotelu, ale zanosiło się, że on długo jeszcze zostanie portierem, bo lubił ludzi i towarzysystwo, ruch i hałas, i nawet bałby się trochę mieszkać sam jak palec, bo gdyby na ten przykład umarł — tak sobie myślał — to nie byłoby nikogo, kto by mu powieki na wieki wólków zam-knął.

— Do domu starców, ma się rozumieć. Wikł i opierunek zapewniony, a jak kto ma dobrą rentę, to z otwartymi rękami przy-jmą. No to wypijcie i zakąście za moje zdro-wie. Cześć! — powiedział muzykant, którego Iwańczuk nazywał tak z sympatii i z ojeow-skiej niemal wyższości, włożył klarnet do pokrowca i wyszedł z pokoju. Mężczyźni dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, nie patrząc na siebie. No bo od czego zaczynać rozmowę po takich zwyczajnych a ciężkich słowach? Ale Iwańczuk od samego dzie-cinstwa umiał znaleźć uzasadnienie dla każ-dej sytuacji, w której wypadło mu się zna-leżeć. Jak jego ojciec po pijanemu okładał matkę rzemieniem, to myślał sobie wtedy — widać tak musi być i widocznie ona sama tego katowania potrzebuje. Są ludzie, któ-rzy w pewnym momencie swojego życia starają się zapomnieć o swoim życiorysie, a co najmniej jemu zaprzeczyć, a Iwańczuk nigdy — on miał gniazdo uwięte dla siebie w swojej własnej duszy, przeżył parę wojen, kilka rządów, widział różne transparenty — niektóre z myślami żywymi, rewolucyjnymi,

MIŁAJA 43 lata od chwili, gdy po raz pierwszy ukazała się w Niemczech w wydaniu książkowym znana dziś w całym świecie powieść „Na zachodzie bez zmian”, zapowiadając pojawienie się w literaturze niemieckiej nowego nazwiska. Jej autor, zmarły we wrześniu 1970 r. Erich Maria Remarque, nie zyskał szerszego ogółu do tego momentu, choć jego pierwsze próby literackie datują się już od roku 1918, zdobył sobie trwałą pozycję już tym jednym dziełem. Tymczasem postać Remarque'a jest prawie nieznana polskiej krytyce literackiej, a i na Zachodzie ograniczono się na ogół do skąpych recenzji ukazujących się kolejno powieści. Brak też jakichkolwiek opracowań monograficznych, a nawet szczegółowej biografii pisarza, co wydaje się dziwne przy ogromnej popularności jego dzieł, budzących szerokie zainteresowanie i odkrywanych na nowo do dnia dzisiejszego.

Zyciorys literacki Remarque'a zaczyna się 31 stycznia 1929 roku, kiedy to nakładem berlińskiego Propyläen Verlag wyszła jego powieść „Na zachodzie bez zmian”, drukowana uprzednio w odcinkach w prasie. Wcześniej próby literackie, na które złożyło się kilka wierszy lirycznych, szkice literackie i dwie słabe, niedojrzałe powieści należące do dosyć rozpowszechnionego w Niemczech gatunku „Künstlerroman”, pozostały w cieniu tego pierwszego wielkiego sukcesu literackiego. Sam Remarque w wywiadzie dla duńskiego pisma „Politiken” we wrześniu 1929 roku wstydliwie przemilcza ową wcześniejszą twórczość.

Genezę powstania swego bestsellera tłumaczy częściowo Remarque w rozmowie z dziennikarzem Axellem Eggebrechtem:

„Cierpiełem na dość gwałtowne ataki żądźnienia. Próbując je przezwyciężyć, zacząłem stopniowo coraz bardziej świadomie i systematycznie szukać przyczyn moich depresji. Przez tę zamierzoną analizę doszedłem do moich przeżyć wojennych. Zupełnie podobne zjawisko zauważyłem u wielu znajomych i przyjaciół... Cień wojny wisiał także i właśnie nad nami, nawet gdy o tym nie myśleliśmy. Tego samego dnia, gdy doszedłem do tego, zacząłem pisać, nie zastanawiając się długo...”

„Na zachodzie bez zmian” wywołało bardzo burzliwą dyskusję w Niemczech, a autorowi zjednało duży rozgłos, włącznie z przedstawieniem do literackiej nagrody Nobla, z nie znanych względów nie przyznanej.

Antywojenna wymowa powieści spowodowała niewybredne ataki ze strony prasy prawicowej, a zwłaszcza hitlerowskiej. Zarzucano autorowi destrukcyjny wpływ na młodzież, oczernianie żołnierza niemieckiego, niedostrzeżenie etycznych walorów wojny, tej „stalowej kapieli, w której hartują się charaktery”, jak pisał jeden z piewców wojny, Ernst Jünger. Z kolei pisarze postępowi całego niemal świata dostrzegli w powieści wydarzenie literackie na miarę XX wieku, a opinie ich poparło ogromne powodzenie książki, już w okresie pół roku przetłumaczonej na dwadzieścia języków.

Zastanawiano się niejednokrotnie, czemu należy przypisać niezwykłą

wręcz popularność tej powieści. Jeden z powodów ujmuje lapidarnie sam autor w krótkim motto: *Książka ta nie ma być oskarżeniem, ani też wyznaniem. Ma tylko podjąć próbę udzielenia wieści o pokoleniu, które wojna zniszczyła — nawet gdy uchroniła się przed jej granatami.* (Wyd. Śląsk, 1956 r.). Słowa te odzwierciedlają jedną z głównych zalet prozy Remarque'a — brak patosu i wielkich słów. Tematyką wojenną w latach dwudziestych zajmowało się wielu pisarzy o głośniejszych nazwiskach. Wystarczy wymienić Hemingwaya „Pożegnanie z bronią”, „Trzech żołnierzy” Johna Dos Passosa, czy „Ogień” Barbusse'a. Jednak u Remarque'a unikanie patetyczności, prostota stylu i niezwykła sugestywność obrazowania złożyły się na powstanie utwo-

go zakończenia wnika, że militariści i szumowiny społeczne potrafią wykorzystać dla siebie nawet klęskę, a za ich awanturnicze poczynania najwyższą cenę płać ludzie najbardziej wartościowi.

Twórczość Remarque'a obejmuje trzynastą powieści, zamykających się w trzech głównych kręgach tematycznych: przeżyć wojennych, losów kombatantów w czasach pokojowych i tragedii niemieckich emigrantów — antyfaszystów. Reprezentatywne dla tych dwóch ostatnich grup powieści wydają się być „Luk triumfalny” i „Czarny obelisk” — najbardziej zresztą dojrzałe pod względem artystycznym.

Już w roku 1932 musiał Remarque opuścić Niemcy w przedwidzaniu rychłego zwycięstwa faszyzmu. W rok później książki jego płonęły na

wania osłabia nieco autor przypomnieniem, że Haake w przeszłości kazał torturować Ravica, co sprostawa jego czyn, częściowo przynajmniej, na tory zemsty osobistej. Takie postawienie sprawy jest właśnie charakterystyczne dla Remarque'a, jest-ono częścią jego zasady niestawiania po którejkolwiek ze stron w walce politycznej. Mimo to Ravic zabija Haakego i mówi przy tym wyraźnie, że robi to dla ludzkości. Scena ta potęguje antyfaszystowską i humanistyczną wymowę powieści.

W „Czarnym obelisku”, powieści o losach byłych towarzyszy broni, najśmiej dochodzi do głosu remarqueowski mit koleżeństwa, eksploatowany już uprzednio w „Drozdzie powrotnej” i „Trzech towarzyszach”. Nie ulega wątpliwości, że

penhauera i Spenglera, o czym zresztą sam autor niejednokrotnie wspomina. Rolę zasadniczą w życiu głównego bohatera odgrywa miłość — liryczna, smutna miłość, której niezwykły nastrój odnajdujemy i w innych utworach tego pisarza. Jednak nie daje ona bohaterowi zadowolenia. Czar pryska, gdy jego ukochana Isabelle odżykuje zdrowie w zakładzie dla psychicznie chorych i staje się zwykłą, konwencjonalną, młodą damą. Jest to więc miłość przepelniona pesymizmem, zawierająca już od początku zapowiedź końca.

Pod pewnym względem „Czarny obelisk” jest kontynuacją cyklu powieści antywojennych. W osobie majora Wolkensteina autor piętnuje ludzi, dla których wojna jest okazją do zaspokojenia osobistych i kasto-



Erich Maria Remarque

Jan Miziński

ru, który znalazł drogę do wszystkich odbiorców.

Mimo zapewnień autora, powieść jest oskarżeniem. Historia grupy uczniów, którzy wprost z klasy poszli na front i będąc prawie jeszcze dziećmi, przeżywają wszystkie okropności nowoczesnej wojny — pożyła Remarque'owi do ukazania całego bezsensu wojny jako zjawiska głęboko przeciwnego naturze ludzkiej. Tragedia bohaterów „Na zachodzie bez zmian” polega nie tylko na tym, że życie ich jest w ciągłym niebezpieczeństwie, choć sceny batalistyczne odmalowane są niezwykle sugestywnie i niejednokrotnie graniczą z naturalizmem. Dla autora ważniejsze jest niszczące działanie wojny na psychikę ludzką. Paul Bäumer, główny bohater powieści, zawarł tę tragedię w niewielu słowach: *Gdybyśmy wrócili do domu w 1916, rozpętałibyśmy burzę z bólu i siły naszych przeżyć. Wracając teraz jesteśmy zmęczeni, rozbici, wypaleni i bez nadziei. Nie będziemy już mogli przyjść do siebie...*

Paul Bäumer nie wrócił do domu. Jako ostatni z kolegów padł na polach Flandrii pewnego spokojnego dnia, kiedy komunikaty frontowe donosiły tylko, że „na Zachodzie bez zmian”. To pesymistyczne zakończenie potęguje jeszcze ogólną antywojenną wymowę powieści, podkreślając właśnie bezsensowność śmierci.

Pesymizm stanowi cechę wspólną wszystkich późniejszych powieści Remarque'a, stając się z czasem niemal credo filozoficznym tego pisarza. Widać to szczególnie wyraźnie w „Czarnym obelisku”, z które-

stosie wraz z dziełami innych postępowych pisarzy. Od tego czasu aż do śmierci, która nastąpiła we wrześniu 1970 r., prawie nieprzerwanie przebywał na emigracji, głównie w Stanach Zjednoczonych i w Szwajcarii. Los emigranta był więc pisarzu dobrze znany i „Luk triumfalny” zawiera wiele momentów autobiograficznych. Jest to historia wziętego chirurga, który z mgliście tylko zarysowanych powodów politycznych musi opuścić Niemcy i żyje w Paryżu. Bez dokumentów, bez zezwolenia na pracę, w ciągłej ucieczce przed prześladowającą emigrantów policją demokratycznej Francji, jest ilustracją przeżyć tysięcy niemieckich emigrantów rozsiadanych po całej Europie. I znów „Luk triumfalny” oskarża podwójnie: nie tylko reżim hitlerowski, który skazał na banicję tysiące Niemców, a wkrótce miał przynieść Europie nową wojnę, ale i rządy „zachodnich demokracji” flirtujące z Hitlerem, a ścigające u siebie jego przeciwników.

Niewielu krytyków potrafiło zauważyć, że Ravic z „Luku triumfalnego” jest pierwszym bohaterem Remarque'a, który porzuca bierną, zrezygnowaną postawę. Z tej apatii wyrwa go miłość do spotkanej przypadkowo dziewczyny. Miłość ta staje się z kolei podłożem, na którym wyrasta nienawiść, gdy spotyka w Paryżu hitlerowskiego emisariusza, swego byłego prześladowcę, gestapowca Haakego. Ravic zdaje sobie sprawę, że zabił Haakego to znaczy uwolnić ludzkość od jednego przynajmniej zbrodniarza i temu celowi podporządkowuje całe swoje działanie. Siłę tego rozumu-

jest to dla autora jedyna prawdziwa wartość wyniesiona z wojny, choć nie rekompensuje ona w niczym nieludzkości wojny jako zjawiska. Motyw kolegów, dla których przeżycia wojenne stanowią podstawę mocnej, męskiej przyjaźni w nieludzkim okresie pokoju — rzecz dzieje się w Republice Weimarskiej, w latach inflacji — to jeden z filarów niezbyt skomplikowanej filozofii Remarque'a. Stworzył on w swoich powieściach specjalny typ człowieka: szorstkiego, rubasznego, ale wiernego do końca towarzysza, dla którego pomaganie ludziom podobnym jemu jest jednym z najwyższych nakazów moralnych.

Po raz pierwszy występuje tu typ bohatera poszukującego sensu życia. Ludwig Bodmer oprowadza nas przez „manię pytań”. Prowadzi długie dysputy z pastorem Bodondiekiem i lekarzem Wernicke. Te dwie postacie są nosicielami dwóch przeciwstawnych światopoglądów. Bodmer ma wybierać między poglądami trzeźwego, wierzącego tylko w doświadczenie i rozsądek lekarza, a opartym na dogmatach idealizmu pastora. Nie decyduje się jednak na żaden wybór. Pogardza pastorem za jego wiarę w „rzeczy niesprawdzone”, a jednocześnie wysławia się z lekarza, nazywając go „majorem rozsądku”. Pozostaje na gruncie własnego sceptycyzmu. Ważne jest dla niego tylko „przeżycie życia”. Utożsamia więc życie z intensywnym przeżywaniem, a treść tego ostatniego, to miłość i najróżnorodniejsze rozrywki. Ta filozofia życia świadczy o wpływie, wywartym na Remarque'a przez modną w latach dwudziestych filozofię Scho-

wych ambicji. Przyszła druga wojna światowa, miasto, stanowiące miejsce akcji, legło w gruzach, bohaterowie pozytywni zginęli lub rozproszyli się po świecie. Natomiast Wolkensteinowie, którzy wojnę rozpętali, są znów na wysokich stanowiskach lub korzystają z państwowych rent. Jest to zawołane oskarżenie stosunków panujących w Niemieckiej Republice Federalnej, choć nazwy tej autor swia domie nie używa, wierny swej zasadzie politycznego niezaangażowania. To właśnie decyduje o sile wymowy politycznej utworu, mimo braku wyraźnej postawy politycznej bohaterów.

Prawdy etyczne i sympatie polityczne podane są u Remarque'a w sposób nienatępny, nie rzucający się w oczy. To unikanie moralizatorstwa przy jednoczesnym podawaniu między wierszami myśli humanistycznych, antywojennych, oskarżających militarizm w każdej jego postaci sprawia, iż autor osiąga swój cel: przemawia do czytelnika nie nużąc go.

Wojna jest dla Remarque'a niebezpieczeństwem samym w sobie. Nieprawdą jest, że nie dostrzega on społecznych mechanizmów jej wywołania. Wystarczy tu przypomnieć scenę z „Na zachodzie bez zmian”, gdzie czcigodni mieszczanie w obecności przybyłego z frontu żołnierza jeszcze w przededniu klęski dokonują zaborów na mapie. Pisarz widzi te prawidłowości, ale uważa, że minęłyby się z celem ciągłe ich przypomnianie i że większe wrażenie wywrze taka jedna krótka scena.

Dokończenie ze str. 9

ale zdarzały się też takie z hasłami trochę reumatycznymi i czasem tylko zdumiewał się śleciutko dziwnym spostrzeżeniem, że nie wszyscy ludzie są jednak zupełnie jednakowi.

— Do domu starców pisać poradził — prawie wyszeptal Iwańczuk. — To ja na swoje stare lata na cudze poddaństwo mam iść? A jego gorzały nie chcą, ja od dzieciństwa przyrzeczenie sobie zrobiłem, że pić nie będę. Dostę na własnego ojca napatrzylem się...

— Od wypitki chociaż jaśniejsze myśli do głowy przychodzi — odłożył ołówek Dyja. — Czysta gorzała, czyli likier robotniczy! Dużo masz tych przyjemności w swoim życiu, Iwańczuk?

Iwańczuk nie odpowiedział od razu, chociaż parę przyjemności mógłby śmiało i z ręką na sercu wyliczyć — zimą lubił chodzić do kościołów, dworce lubił zwiedzać, i domy towarowe, i inne luksusy. A zwiędział to wszystko w strachu, żeby nie zrobić się całkiem dziedziałym. Dlatego też lubił niedzielne spacerować nad rzeką, gdzie latem aż ciężko i słodko od zapachu bżów.

— Dom starców nie dom starców, jak człowiek ma coś więcej nad głową niż parasol, to już jest dobrze — odpowiedział sam sobie Dyja. — Ja lubię żyć w gromadzie. Pamiętam, jak w tych pierwszych latach przyjeżdżał tutaj i Wołyniacy, i Górale spod Żywca, i chłopci spod Nowego Sącza i Limanowej. Jeden od Sasa drugi od lasa, a wszystkie, jak to się mówi, Polacy, Polacy. Ale różne było i wesolo. Gdyby człowieka teraz trochę reumatyzm nie nadgryzł, to dalej byłoby wesolo. — Dyja nalał sobie wódki do szklanek, którą wziął z półeczki nad umywalką. — Ja tyle kobiet w życiu przerzuciłem, ty nie nie użyłeś i na jedno nam wyszło.

— Ja tam dużo w życiu nie chciałem, ot, skromną, państwową posadę i maleńki dywanik ziemi dla siebie na warzywa, na

rzodkiewkę, szczypior, a może nawet i na pomidor — z namysłem odrzekł Iwańczuk.

— A swoje przyjemności to ja mam. Lubię jak w telewizji streszczają naszą robotę stolarzy, murarzy i szklarzy, jak streszczają naszą budowę, to mnie ciekawo, bo to jakby mnie samego oni streszczali. Kino to głupia zabawa, a i oczy trzeba natrudzić i namozolić bardzo, ale już w radiu dziennika i pięknej muzyki z przyjemnością słuchałem.

— Pociwcy z ciebie człowiek — stwierdził Dyja pociągając ze szklanki.

— Pewnie. Taka ja, jak na wschodzie mówili, pticzka niewieliczka — uśmiechnął się łagodnie Iwańczuk.

było dawno i nieprawda — rozłożył ręce Dyja.

— Ja też byłem kiedyś chwał — Iwańczuk wyciągnął z portfela stare zdjęcie, na którego odwrócić lekka, starta pieczęć obwieszczala: Zakład fotograficzny „Rembrant”, Kobryń, ul. Mostowa nr 20, a na zdjęciu młody Iwańczuk przeżył się w rekruckim baczności, na tle pokojowej palmy w zakładzie fotograficznym. — Tak, byłem chwał. Kiedyś na budowę przyszedł do rozładunku wagon żwiru. Dali mnie takiego młodego, ładnego do pomocy, i ten się przestraszył, że będzie musiał robić za starego. Łopatę wziął, na polowie żwiru narysował kreskę.

PODANIE

— Przypomniało mi się jedno zdarzenie — pokraśniał już po pierwszym lyku Dyja. — Byłem kiedyś taksówkarzem. Na dzierżawionej taksówce jeździłem, było to w jednej miejscowości na Zalewem Szczecińskim. No i jeden z kapitanów tamtej białej floty ze statku „Juliszka” czy „Margitka” założył się ze mną i z jeszcze jednym moim kolegą, kto pierwszy zamelduje się w knajpie w Stepnicy — czy on na statku, czy my na taksówkach. No i myśmy wygrali, ale dlatego, że ten kapitan tak był pewny swego, że zanim ruszył, tak tego popił, że przy sterze podtrzymywało go dwóch marynarzy. Ale potem to dopiero była zabawa, na cztery fajery!

— Kombinowałeś tyle, Dyja, bawileś się, a też z ciebie teraz taka pticzka niewieliczka. Na portiera wyszedłeś — machnął ręką Iwańczuk.

— Ano, za dużo kombinowałem, za dużo się bawilem. Zawsze i wszędzie chciałem mieć raj, a raj podobno był jeden, ten co leżał między Tygrysem i Eufratem. Ale to

Patrzę ja za godzinę, ja już doszedł do tej kreski, a on i połowy swojego żwiru nie zrzucił. Zeby on przedtem tej kreski nie narysował, to bym mu pomógł, bo się tak zamęczał z tym żwirem, aż mnie żal na niego było patrzeć. Głupio mnie było patrzeć, jak ten delikatny chłopak męczy się, poci i ledwo dycha, więc powiadam do niego inteligentnie i delikatnie — kolego, ja do kiosku spożywczego po kiełbasę muszę skoczyć. Wstydu mu chciałem oszczędzić i głupio mnie było patrzeć na jego męczarnię. Ale potem w robocie miał dla mnie zawsze akuratnie uszanowane, dla dobrego robotnika uszanowanie, nie dla starszego dziada, bo takiego uszanowania ja nie chcę. Taką mu inteligentną, delikatną szkołę dałem. Tak, swoje interesy i z ludźmi, i z Bogiem ja mam uregulowane. Niczego nikomu nie jestem winien, prócz tego kawalka życia, które mnie jeszcze zostało...

— Tak sobie myślę, że mimo do tego domu starców też chętnie przyjmą. Tych, co mają chociaż czterysta złotych renty, to przyjmują

z ucałowaniem rąk. Ja lubię żyć w gromadzie, a samemu tu strach. Grunt to mieć nad głową coś więcej niż parasol — głośno pomyślał Dyja, bo czasem mierzila go ta robota w portierni wylepionej afiszami przeciwalkoholowymi i przeciwenerycznymi. Te ostatnie dla młodzików mogły być ostrzeżeniem, ale dla Dyji i Iwańczuka? — śmiech bierze, za późno im na takie weneryczne figle.

Za oknem niedziela posapywała w tym słońcu otyłym i odświeżonym, lecz nieco zamglonym, łagodnie katulowała się od dusznej pory południowej w kierunku bądź co bądź znacznie bardziej rześniejszego wieczoru. Iwańczuk odpasnął, nagał się za wszystkie czasy, bo na ogół mało mówił, dlatego ludzie bez większego trudu przyzwyczajali się do niego, włóki się po świecie, nigdzie za sobą mostów nie palił, ale też i nigdzie nie wracał — tyle przeprowadzek, zdarzeń i ludzi po drodze, ale wszystko układało mu się w jedną, wielką całość — pracę i zapłatę. Pieniądże za każdą robotę znaczący dla niego tak samo, dlatego nie przebiegwał w robocie — robota jest robota i pieniądz jest pieniądz Najgorzej jak się zdarzy taka sytuacja, że „ani chaty, ani łopaty”. Ważne jest tylko wierzyć, że jeśli nie na tym, to na następnym miejscu trafi mu się bardziej trwały dom, a bezustanna robota ma tą dobrą zaletę, że dobrze wpływa na hamowanie wszelkich gwałtowniejszych uczuć.

— Narzekać nie ma co — powiedział Dyja i przekreślił tytuł podania: „Do urzędu mieszkaniowego przy miejskiej radzie...”, bo tytuł ten wydał mu się już całkiem nieprzydatny. A bo to nam źle? Po sześćdziesiątce wszystkie lata darowane od Boga — wychylił pustą już szklankę i podszedł do otwartego okna odetchnąć trochę głębiej. Wychylił się ostrożnie przez parapet — po jednej stronie hotelu rozciągał się wielki zakład — kombinat, po drugiej rozrastające się, wciąż jeszcze młode miasto, na wprost można było dojrzeć zielone jeszcze pola sportowe w ciężkie futro dusznego, niedzielnego upału.

Edmund Pietryk

Głos w sprawie wychowania

Aleksander Olszewski

WARTYKULE pt. „Głos w sprawie oświaty” M. Podgórski celnie i ostro wypunktował liczne problemy oświaty, jakie powinny być rozwiązane w najbliższej przyszłości. Jednak podkreślając tylko słabe punkty naszej oświaty, autor umiata zagadnienie w sposób nieco krańcowy. Nie można bowiem widzieć samych braków i nie doceniać wielkich osiągnięć naszego państwa na tym polu.

Minister oświaty i szkolnictwa wyższego H. Jabłoński sprawy te ujął na jednym ze spotkań z aktywnym partyjnym naszym miasta w sposób niezwykle trafny, lapidarny, a przy tym dowcipny. Powiedział on mianowicie, że z oświatą nie jest tak dobrze jak się o niej mówi i nie jest tak źle jak się o niej myśli. A o oświacie i wychowaniu mówi się w ostatnich miesiącach bardzo wiele.

Patrząc na to zagadnienie oczami praktyka stwierdzić należy, że problematyka ta jest w naszym systemie oświatowym sprawą zajmującą drugie miejsce po nauczaniu. Choć dużo mówi się o stworzeniu szerokiego frontu wychowawczego, w którym obok szkoły uczestniczyłyby rodzina oraz bliższe i dalsze środowisko ucznia, to jednak do tej pory tylko nielicznym placówkom oświatowo-wychowawczym udało się wytworzyć właściwe środowisko wychowawcze, gdzie oddziaływanie wszystkich czynników kształtuje młode pokolenie zgodnie z ideałem wychowawczym socjalizmu.

W moim przekonaniu do najpilniejszych spraw w dziedzinie wychowania należą:

1. Brak wyraźnej sprecyzowanego systemu wychowania, obejmującego swoim zasięgiem wszystkie poziomy nauczania i wychowania. System taki musiałby uwzględniać etapy rozwoju fizycznego i psychicznego dzieci i młodzieży i stanowić jednolitą, konsekwentnie realizowaną całość.

2. Brak sprecyzowanych wzorców osobowościowych reprezentujących ideał wychowawczy socjalizmu. Wzorce takie są potrzebne młodzieży na dziś i na przyszłość. Niezwykle ujemnym zjawiskiem jest depersonalizowanie materiału merytorycznego zawartego w programach i podręcznikach. W szczególności zaś występuje to w wychowaniu obywatelskim, gdzie zarówno program jak i podręcznik nie nie wspominają o ludziach, którzy swoją pracą i działalnością stanowią mogą przykład postępowania dla młodzieży.

3. Wielkość szkół nie potrafi stworzyć lokalnego systemu wychowania i właściwie przetłumaczyć ogólnych założeń wychowawczych (sprecyzowanych niejednokrotnie maksymalistycznie) na określonej działalności wychowawczej, dostosowanej do charakteru i możliwości danej placówki oświatowo-wychowawczej.

4. Równorzędne traktowanie przez władze szkolne (nadzór pedagogiczny) spraw nauczania i wychowania. Chodzi o to, by nie oceniać pracy szkoły wyłącznie z punktu widzenia osiągniętych przez nią wyników nauczania, co sprawdza się często do wyników klasyfikacji uczniów. Sprawność nauczania nie zawsze idzie w parze z właściwymi efektami wychowawczymi. Dążenie do minimalnego odświegu uczniów bez względu na ich poziom wiedzy i postawy wychowawczej (nieistotne, nieobowiązkowe) jest z punktu widzenia wychowania społecznego zdecydowanie szkodliwe.

5. Niedocenianie problematyki wychowawczej przez wielu nauczycieli, którzy już w procesie przygotowywania się do lekcji nie są wyposażeni w adekwatny do potrzeb zasób wiedzy z psychologii, etyki, socjologii, prawa itp.

6. Szkoły w zbyt małym stopniu stosują metody aktywizacji społecznej uczniów — gdzie przez właściwe zorganizowanie proces wychowawczy dokonuje się uspołecznienia uczniów. Jest sprawą niewątpliwą, że wdrażanie uczniów do społecznego działania oraz wpańanie im cech społecznie pożądanych jest zagadnieniem pierwszoplanowym w działalności szkoły.

7. Niedoceniony jest problem powiązania wychowania z pracą. Praca właściwie zorganizowana jest doskonałym instrumentem wychowawczym. Obok spełniania przez nią użytecznego celu, jakim jest przystosowanie i wdrażanie ucznia do pracy, dającej określone wytwory materialne, formuje osobowość

człowieka, członka określonej społeczności, który będzie umiał współżyć i współpracować z innymi ludźmi.

8. Problem wychowania estetycznego, które w szkole realizowane jest w niewielkim stopniu, zaś oddziaływanie telewizji, kina i teatru nie zawsze spełnia właściwe zadania wychowawcze.

9. Wychowanie społeczne młodego obywatela nie może być wychowaniem zwerbalizowanym, lecz opierać się musi na realnej działalności w konkretnej rzeczywistości otaczającej ucznia.

10. Organizacje młodzieżowe powinny zintensyfikować swoją działalność przez organizowanie z młodzieżą i dla młodzieży atrakcyjnych zajęć, co stanie się „magnesem” przyciągającym młodzież do organizacji.

I jeszcze kilka zdań o roli i zadaniach nauczyciela jako jest on najważniejszym czynnikiem rzutu na proces wychowania i jego wyniki. W ciągu wielu lat praktyki pedagogicznej miałem możliwość obserwować dobrą i słabą pracę wychowawczą nauczycieli. I tu stwierdzić należy, że wszędzie tam, gdzie nauczyciel jest przejęty i zaangażowany po stronie aktywnego wychowania młodzieży — wyniki są zdecydowanie lepsze niż tam, gdzie realizuje się tylko program nauczania. Sam bowiem program, pomimo iż zawiera wiele momentów wychowawczych, nie da efektów wychowawczych jeśli nie ożywi go nauczyciel, który potrafi wydobyc i wykorzystać celowo te wszystkie elementy.

Nauczyciel-wychowawca musi umieć wyzwać naturalną aktywność wychowawczą i samowychowawczą swoich wychowanków przez odpowiednie wskazywanie im zadań, dyskretnie i umiejętnie kierowanie ich działaniem, wreszcie pozytywną oceną ich aktywności społecznej. Faktem jest bowiem, że wszędzie tam, gdzie takiej pracy brakuje, młodzież szuka ucieczki dla naturalnej potrzeby działania i współdziałania w tworzeniu i działalności grup nieformalnych, których cele rozciągają się często z założeniami pedagogiki socjalistycznej.

A więc podstawowym warunkiem współczesnego wychowania powinno być wdrażanie młodzieży do aktywizacji społecznej, przez którą rozumieć należy konkretną działalność wychowawczą, wynikającą z ich aktywności uwarunkowanej określonymi potrzebami i warunkami społecznego bytu. Aktywności, której celem powinno być tworzenie społecznie użytecznych wartości. W aktywności tej głównymi czynnikami powinny być inicjatywa własna i samorządność uczniów oraz konkretna działalność wynikająca z zainteresowań i możliwości realizacyjnych.

Ukierunkowanie działalności wychowawczej szkoły na rozwijanie aktywności społecznej wychowanków powinno zawierać następujące elementy działania: nastawienie psychiczne, wyrażające się w zainteresowaniu ucznia określonym problemem, podanie informacji, które powiększają zasób wiedzy społecznej ucznia, wytworzenie na ich bazie określonych przekonań oraz postaw, a w końcu realizacja określonych działań społecznych.

W działalności wychowawczej konieczna jest doskonała znajomość wychowanków, ich środowiska, warunków życia, zainteresowań, dążeń itp., co nie zawsze jest możliwe przy wciąż jeszcze przeladownych klasach.

Sądzę, że wiele jest jeszcze do zrobienia, aby każdy wychowawca (tak jak lekarz) umiał postawić diagnozę wychowawczą, tak w przypadkach indywidualnych jak i dla zespołu, którym kieruje. Jest to nieodzownym warunkiem świadomych poczynań wychowawczych i realizacji zadań współczesnego wychowania. Pilnym więc postulatem jest taka organizacja kształcenia i samokształcenia nauczycieli oraz zmiany organizacyjne w szkolnictwie, aby realnie zwiększyć możliwości i efekty procesów dydaktyczno-wychowawczych.

Przedstawione powyżej sprawy są w moim przekonaniu sprawami, których rozwiązanie może się przyczynić w poważnym stopniu do osiągnięcia lepszych wyników wychowawczych. Nie mam, oczywiście, pretencji do wyczerpania całego indeksu spraw wychowawczych, które muszą być rozwiązane.

By nie kończyć wypowiedzi w tonie minorowym, pragnę podkreślić, że wielu nauczycieli-wychowawców w Lublinie jest czynnie zaangażowanych w wychowanie społeczne uczniów, w czym osiągają piękne rezultaty. Dużo dla wychowania naszej młodzieży robią również niektóre zakłady pracy, które jako komitety opiekuńcze wiele pomagają szkołom. Chodzi tu jednak o pełniejsze włączenie do tej akcji wszystkich zakładów pracy i o to, aby obok pomocy materialnej dla szkół, mogły one pełniej włączać się w organizację procesu wychowawczego.

Krzyżówka nr 4

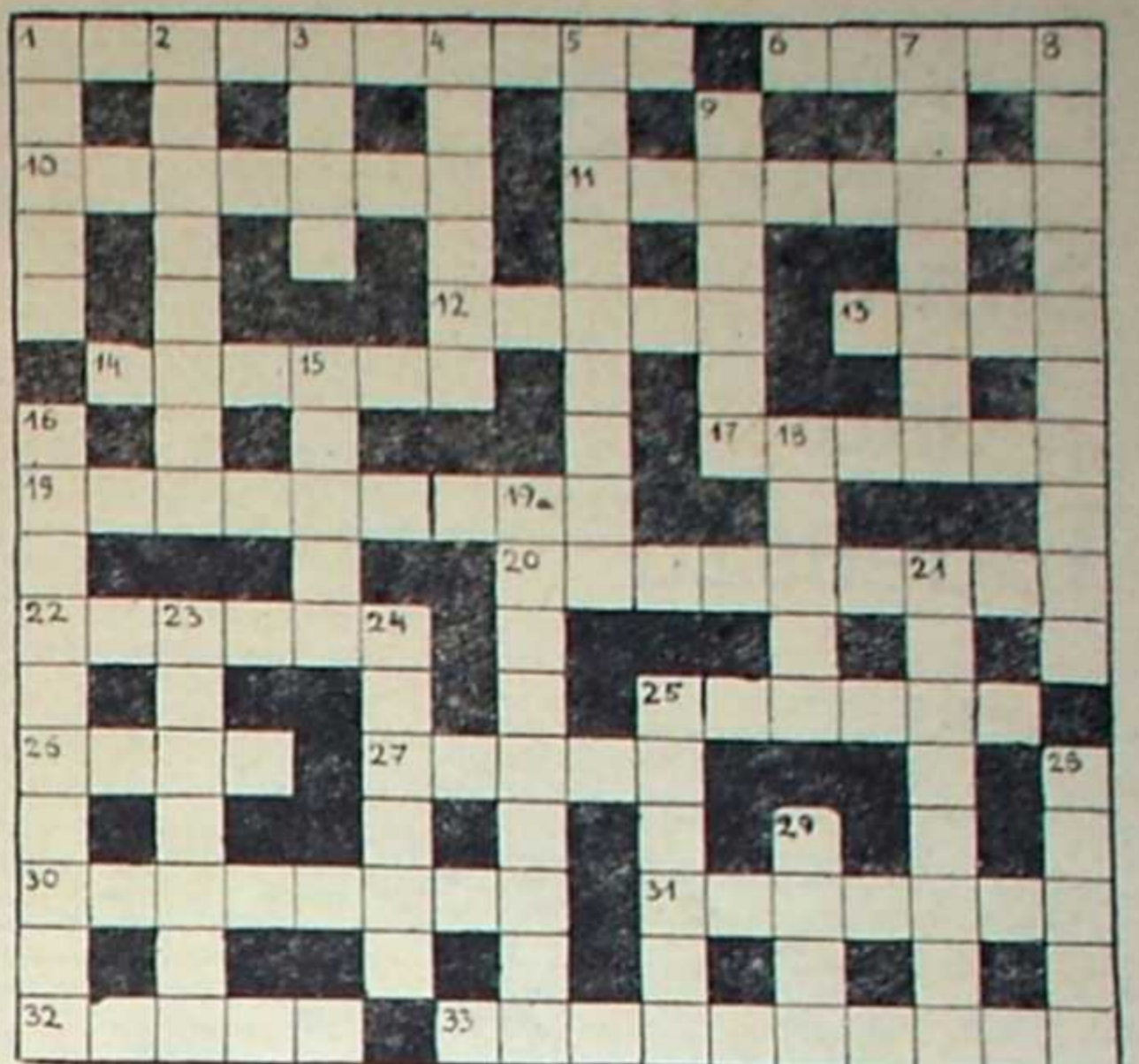
POZIOMO: 1. pochowany na lubelskim cmentarzu pisarz polski z XIX w., używający pseudonimu Klemens Janowski, 8. filmowana obecnie powieść Sienkiewicza, 10. rodzina wód Habszki Skrzetuskiej, 11. współtwórca filmu rysunkowego, 12. wielki poeta niemiecki XIX wieku, 13. najwzniesiej dialekt języka hindu, 14. przedmiot, 17. trawa pokrywająca jakas przestrzeń, 19. bohater legend zbójnickich Śląska Cieszyńskiego, 20. plód na mekach, 22. opera Webera, 23. zdoł strój meki, 26. rzeka graniczna, 27. zastępuje wełnę, 28. pisarz romantyczny polski, pisujący w języku polskim i francuskim pod pseudonimem Charles Edmond, 31. wydawca polski z okresu międzywojennego, znany z wydań encyklopedii, 32. twórca, 33. słynna biblioteka i zbiór obrazów w Mediolanie.

PIONOWO: 1. pisarz polski XX w., związany z ruchem socjalistycznym, 2. stolica Turkmenskiej SRR, 3. posełek bóstwa, 4. twórca pierwszego samolotu, 5. jeden z wieszczów, 7. odmiana gryki, 8. państwo w Europie, 9. szkoła średnia, 11. muza pieśni miłosnej, 16. poetka polska z przełomu XIX i XX wieku, 18. powieść Krasszewskiego, 19a. napis nagrobkowy, 21. kierownik władzy powiatowej, 22. wywóz towarów, 24. dramat Kruczkowskiego, 25. brat Polliksa, 28. powieść Gojawiczyńskiej, 29. dawny krakowski dziennik konserwatywny.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. pocz. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

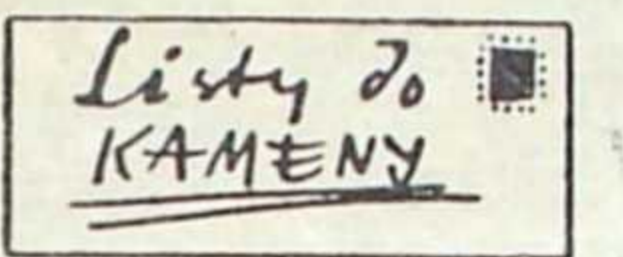
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 2

Poziomo: Kossak, Krasinski, Ostrog, Niemca, rzut, reklin, wasal, Lapsze, Iskra, gduia, wariat, Zbaraz, Arpad, reper, podium, krokli, rafia, Raba, Lysinski, Zapolska, Dantyszek, aplauz.



Pionowo: Klonowicz, satyryk, kareta, Kagara, Asnyk, Siciński, Iganie, Etna, uwaga, Elgar, Bawa, Dżuma, Laski, Adria, terminarz, Andersen, plansza, pokład, uran, raczek, kropka, filiz.

Nagrody wylosowali: Janina Gaeka, Jelenia Góra, ul. Wojska Polskiego 43 m. 9; Stefan Janiec, Lublin, ul. Sibińska 26 m 12; J. H. Kowalewski, Szczecin, Plac Lotników 2 m 8; Andrzej Olejnik, Lublin, Sądowa 10 m 19.



„Demograficzne aspekty urbanizacji Lubelszczyzny”

Opublikowany w „Kamieniu” z dnia 16 stycznia br. artykuł Stanisława Winnickiego pt. „Demograficzne aspekty urbanizacji Lubelszczyzny” zawiera szereg sformułowań budzących wiele zastrzeżeń. Z uwagi na to, że mogą one wprowadzić w błąd czytelnika, podaję następujące wyjaśnienia.

Stanisław Winnicki pisze o „pozornym” wzroście ludności miast przez nieuczciwione decyzje władz o nadaniu praw miejskich osiedlom i wyznaczeniu 8 nowych powiatowych miast.

Parę terytorij w tej autor pisze, że urbanizacja ma szereg aspektów, m.in. ekonomiczny, polegający na zwiększeniu się liczby ludności zatrudnionej poza rolnictwem. W osiedlach 8 miastach do 1965 zatrudnienie ogółem wynosiło 26,9 tys., w tym zatrudnienie poza rolnictwem 29,2 tys. Zatem udział zatrudnionych poza rolnictwem w zatrudnieniu ogółem stanowił 86%, a w ludności tych miast 81%. Trudno tu więc mówić o „pozornym” wzroście urbanizacji. Trudno również zgodzić się z następnym stwierdzeniem o braku zakładów przemysłowych w tych miastach, bądź o braku zabudowy miejskiej. Właśnie w Świdniku, Krańniku Fabr., Poniatowej i Rejowcu Fabr. lokalizacja wielkiego zakładu przemysłowego stała się przyczyną powstania nowego miasta. Nieco inaczej ma się sprawa Buzachy, Białej i Opola Lub., pełniących funkcje powiatowe, gdzie dla prawidłowego funkcjonowania miasta duży zakład przemysłowy wcale nie jest sprawą być albo nie być. Natomiast w Naleczowie, który, jak ogólnie wiadomo, jest uzdrowiskiem, lokalizacja taka jest wręcz przeciwnie szkodliwa.

Autor mówi o „szczególnie dużym spadku liczby ludności miast w kategorii miast poniżej 5 tys. mieszkańców oraz kategorii 5-10 tys.”, ilustrując powyższy wywód spadkiem udziału procentowego ludności tych miast w stosunku do ludności miast ogółem. Sprawa ta jednak przedstawia się zupełnie inaczej, bowiem w latach 1964-1970 przyrost ludności miast do 5 tys. wyniósł w liczbach bezwzględnych 3,5 tys., a w latach 1946-1970 aż 8,1 tys. Natomiast w grupie 5-10 tys. liczba ludności miast istotnie spadła o 23 tys. w latach 1964-1970, a o 20,4 tys. w okresie 1946-

-1970, ale to na skutek przechodzenia miast z tej grupy wielkościowej do następnej, o wyższym zaludnieniu. W 1970 r. w tej grupie znajdowało się 6 miast, podczas gdy w r. 1964 aż 9. Tak więc zmniejszenie się udziału procentowego ludności tych grup miast nie świadczy o ich degradacji i takiego miernika bez bliższych wyjaśnień stosować nie można.

Omalując wzrost ludności miejskiej Lubelszczyzny, autor, jak to sam pisze, ogranicza się do podania wyniku działań rachunkowych, nie przytoczając samych danych, a szkoda. Może bowiem wtedy zorientowałby się, że w jego bilansie brakuje co najmniej 55 tys. osób. Podaje za S. Winnickim przyrost ludności miast w okresie 1946-1970: z przyrostu naturalnego 126 tys., napływu ludności telegraficznej 82 tys., nowo powstałe miasta 50 tys. Łącznie stanowi to 258 tys. osób. Z danych statystycznych wynika, że ludność miast wzrosła w omawianym okresie o 318,1 tys. osób. Skąd ta różnica? Otóż autor artykułu nie zdał sobie sprawy, by wliczyć liczbę ludności napływającej do miast z innych miast województwa oraz spoza jego granic, chociaż w innym miejscu pisze o „ucieczce tej ludności (tj. miast małych) do miast większych jak: Puławy, Zamość, Chełm, Biata Podl., a nade wszystko Lublin”. Otóż po utępieniu miast tych ruchów przyjęta przez Wojewódzką Pracownię Planów Regionalnych w Lublinie migracja do miast w latach 1971-73 to wysokość 63 tys. osób nie powinna budzić żadnych wątpliwości. Liczba ta nie jest bezwzględnie wielkością ludzi migrujących ze wsi, lecz saldem ruchów migracyjnych do miast. Interpretacja zatem tej wielkości przez autora artykułu jest błędna, jak również zbyt pochopnie wyrażona wyjątkiem, że być może o powierzonej analizie planowania gospodarczego przez organy planowania wojewódzkiego i regionalnego.

Autor artykułu nie zapoznał się bowiem z wykonanymi opracowaniami studium w Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych, zarówno w zakresie migracji ludności (zewnątrznej i wewnętrznej), jak też problematyki współwzrostającej. W opracowaniach tych, w wyniku konsultacji i bieżącej współpracy z pracownikami naukowymi UMCS w Lublinie, zastosowane zostały metody naukowe, łącznie z metodami elektrycznej techniki obliczeniowej.

O skuteczności polityki demograficznej w zakresie urbanizacji mogą świadczyć stosowane zasady polityki lokalizacyjnej zakładów przemysłowych i inwestycyjnych oraz rozwój gospodarczo-budowlany miast. W wyniku tej polityki w ostatnich 10-leciu wyraźnie zaczyna wykształcać się centra podregionalne na Lubelszczyźnie: Biata Podlaska, Chełm, Zamość, Puławy, Krańnik Miasto i Krańnik Fabryczny. W miastach tych w latach 1961-1970 nastąpił największy przyrost ludności wynoszący 47,1 tys. mieszkańców, co stanowi 32,7% ogólnej liczby przyrostu ludności miejskiej regionu.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie placimy honorarium.

Pan Jan Sity z Ząbkowic Śląskich, który dotychczas gorliwie zatrudniał i zajmował redakcję „Kamienia” swoimi tekstami oraz listami, a także montażem o honoraria, pojął swój błąd i zwrócił się do naszego niezależnego organu z prośbą o pomoc. Tej zaś odmówić mu nie mamy prawa. Oto list Pana Sity:

Miło mi jest! Miło mi jest donieść, iż moje starania odniosły skutek i czasopismo „Kamena” stało się czasopismem do użytku młodzieży ząbkowickiej w czytelnym im. Księgi Henrykowskiej w Ząbkowicach Śląskich. Czasopismo na pewno zyskało wielu czytelników. Zwracam się zatem o szczerze drukowanie moich utworów literackich, przy czym całkowicie rezygnuję z honorarium. O

ile Redakcja przyśle mi jego część, oczywiście będę mile zobowiązany. Zwracam uwagę na twórczość Wrocławian, jako iż w samych Ząbkowicach Śląskich jest jeszcze jeden literat — mistrz krawiectwa Stanisław B., o czym donosił Wam mistrz ślusarstwa samochodowego i literat Jan Sita z Ząbkowic Śląskich! Zwracam się o druk piosenki mojego autorstwa, zatytułowanej Piosenka na dobranoc:

Wśród polych skał,
Wśród wierzchów Tatr,
Na polę grani
Zalkat wiatr piosenkę na dobranoc.
Piosenka na dobranoc,
Na dobranoc piosenka,
Jest dobra tylko na noc,
By sen się Ciebie nie lękał!
Taka zrykłość zrywka,
Taka jak ty dziewczyna,
Przytomna, mi przywykła,
A przy tym mi jedyna.
Wśród białych chmur,
Wśród wierzchów gór,
Jak biały ptak,
Wytęcza szlak piosenka na dobranoc...

Wśród koron drzew,
Wznosi się śpiew,
Kultury bród,
A wśród nich ślub z tobą dziewczyno, nie z piosenką.
Zostaje nam w skupieniu oczekiwać na utwory mistrza krawiectwa — kolegi Pana Sity. Vivat Ząbkowice!

O ile ludność miejska ogółem wzrosła na Lubelszczyźnie w latach 1961-1970 o 30,9%, to w wymienionych 3 miastach o 47,1%. W świetle tych danych trudno zgodzić się z poglądami autora artykułu o „mało skutecznym, może nawet żadnym” oddziaływanu na procesy urbanizacji na Lubelszczyźnie. Znaczącą rolę w swoim artykule na nowe metody naukowe, które należałoby zastosować do badań procesów urbanizacji Lubelszczyzny, oraz nie zaproponował nowych zasad polityki urbanizacji regionu.

Jan Martychewicz
Kierownik Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych w Lublinie

O nas dla nas

Jakże pozytywne były artykuły red. J. Dostajnego w dniu ostatnich numerach „Kamienia” (z 2 i 16 stycznia br.). Pozytywne, potrzebne i profilaktyczne dla dyrektorów wielu przedsiębiorstw i instytucji w naszym mieście i województwie, często tych „piętnujących po Bogu”, zadufanych w sobie, z brakiem poczucia odpowiedzialności, ponadto dla obywateli z permanentną obsesją, że w Polsce nie się nie da zmienić i poprawić, w końcu i dla tych „strasznych mieszczan”, obywateli i znieuczonych na wszystko, co ich osobliwie nie dotyczy i nie boli. Wierzę że skuteczność mądrej i przemyślanej akcji prasowej. Niestety nasze codzienne pisma lubelskie nie podejmuje inicjatywy w akcji poprawy. Są bezbarwne i anemiczne. Jakże się cieszyć, że „Kamena” z pisma czysto literackiego o stosunkowo wąskim kręgu czytelników, przekształca się w pismo kulturalno-społeczne, interesujące każdego obywatela bez względu na kierunek zainteresowań. Toteż stają w szeregu aktywnych przyjaciel i czytelników „Kamienia”. Cieszyć się będą każdym jej sukcesem, dobrym artykułem.

Niewątpliwie w „Polsce piszącej i czytającej” dobrze się mówi o „Kamieniu”. Dlatego też jako jeden z aktywnych czytelników zwracam się z prośbą o kontynuację i rozszerzenie zapadnię pod hasłem „Gospodarność”, w różnych formach reportażowych, satyrycznych (...). Przed kilku laty powołano Towarzystwo Miłośników Lublina, które, jak mi się zdaje, po kilku dynamicznych zebraniach nie wykazuje obecnie większej aktywności.

Chciałabym też znaleźć w „Kamieniu” objawy szybkiej reakcji na to, co dzieje się złego i dobrego w telewizji, teatrze (nie tylko lubelskich) i w kinach. Moje osobiste wrażenia z telewizyjnego „Wesela” w opracowaniu L. Zamkoc były negatywne... „Dnia Teatru”, Stanistawskiego z Holoubkiem i innymi świetnymi artystami stanowiący dla nas prawdziwą ucztę artystyczną. A ostatni film polski Zdzisławowski pt. „Trzecia część nocy” czyż nie jest koszmarny... Bardzo przykry film dla starszych, a szkodliwy dla młodych. (...)

Prof. dr Janina Opieńska-Blauth
Lublin

Od redakcji: Dziękujemy za te propozycje i sugestie, które będziemy starali się uwzględnić w naszej pracy. Dziękujemy też serdecznie za życzenia noworoczne.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDEJEJ JAWORSKI i ZENON WARSZYSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTAJNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMINSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WISNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA. Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamierzonych i zastrzega sobie skróty. Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Al. J. Racławieckiego 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamaj KONSTANTY KEPA
Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 33
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-23, sekretarz redakcji i dział publicystyki 715-33
Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131, poleconą i ekspresową — pod adresem redakcji.
LZ.Graf. Zam. 233 25.1.72. 10.353. B-4

Siłami „Pana Tadeusza”

ZWIERZYŁ mi się pewien grafik, że pracuje właśnie nad ilustracjami do książki Brylla, nie pamiętam już jakiej. Była to informacja ani głoszona, ani ściszona, w sam raz taka, aby słyszała ją także towarzysztwo siedzące przy sąsiednim stoliku; wprowadzenie w twórczość tego grafika odbywało się w kawiarni, jako że wszystkie ważniejsze sprawy związane ze sztuką odbywają się od dawna w takich lokalach, choć, moim zdaniem, lepiej do tego celu na-

dają się restauracje, no, może nie lubelskie, ale przemyskie na pewno: to właśnie tym żyje tylko jeden artysta. Tamten grafik chciał wymusić na mnie i innych uznanie dla swojej twórczej postaci, lecz pomylił się fatalnie, bo towarzysztwo nie przerwało rozmowy, ja zaś zapytałem, czy rzecz się opłaca, po czym przekazałem. Złego bowiem targarza wybrał tłusty grafik w drodze do stawy, żadna książka nie pomieszcza dziś plastyki w centrum zbiorowej uwagi, nie osadzi w świadomości społecznej.

Książki dzisiejsze, te najbardziej współczesne w swej strukturze, są w zasadzie nieprzekładalne na język obrazu, niech ktoś spróbuje zilustrować „Nie albo nie” Konwicińskiego, „Człowieka epoki” Iredyńskiego, lub poezję Białoszewskiego... Literacki obraz świata przypomina raczej rozbite lustro, którego kawałki znajdują się w ciągłym ruchu, niż harmonijną ułudę oprawioną do solidnej ramy, i jest faktem tak subiektywnym, że w gruncie rzeczy tylko sam pisarz mógłby pokusić się o znalezienie dla niego ekwiwalentu graficznej formy, tylko po co? A gdyby nawet spróbował, na pewno otrzymalibyśmy rzecz nową, rzecz plastyczną, która bez wedy o literackim źródle inspiracji nie stworzyłaby naszej wyobraźni w jego kierunku. Same środki wyrazu autonomizują istnienie dzieła sztuki, a kto próbuje złamać tę zasadę, jest albo literackim malarzem, albo obrazowym pisarzem, a mnie osobicie takie pomieszanie porządków nie zachwyca.

Krótko — znajomy grafik powtórnie załamał, że nie urodził się w wieku dziesiętnastym. W tamtych czasach mógłby dojść do stawy, czy ja wiem, może nawet Michała Elwiro Andrioli? Stawa to nieco dwuznaczna, ale zażasze...

W drugiej połowie ubiegłego wieku Andrioli był bodaj najbardziej popularnym ilustratorem, współpracownikiem „Tygodnika Ilustrowanego”, „Kłosów”, „Biesiady Literackiej”, a więc pism wówczas najwłaściwszych, kształtujących opinię publiczną i artystyczną. Podczas pobytu w Paryżu w latach 1883 — 1886 pracował dla wydawnictwa Firmin-Didot.

Zarazem był najbardziej typowym ilustratorem, bezbłędnie trafiającym w gusta szerokiej publiczności, a jako taki nie miał właściwie szans na znalezienie trwałego miejsca w historii. Ale znalazł je przecież, ponieważ w jej kręgi na krępkich barkach „Pana Tadeusza”. Niewiele dziś osób kojarzy sobie jego nazwisko z dziełami Słowackiego, Krasińskiego, Malczewskiego, Orzeszkowej czy Syrokomli, które ilustrował, lecz każde dziecko w wieku szkolnym wie, że Andrioli to ten pan, który zrobił obrazki do „Pana Tadeusza”, wiszące także na ścianach gabinetu do lekcji polskiego. Andrioli jako szef propagandy Mickiewiczowskiego interesu, poeta jako „marszand” grafika!

W istocie przecież Andrioli nie istnieje jako artysta, jego dorobek, zawierający min. cykle obrazujące ówczesne obyczaje i życie polskie, określany dziś bywa przez history-

ków sztuki lekceważącym zwrotem „manierystyczny”, zresztą nie bez powodu. Z biegiem lat ten rodzajowi wstawiano coraz częściej powtarzalny siebie, stosował bez głębszego uzasadnienia te same chwytliwe frazje, w zbliżony sposób interpretował odmiennie tematy. Żyje tylko w symbiozie z „Panem Tadeuszem”, uścisnęło się w symbiozie, lecz w związku podrzędności Andrioli nie jest potrzebny Mickiewiczowi, lecz bez pomocy poety niekiedy. Zapewne, to nie tylko kwestia konfrontacji dzieła literackiego — dzieła graficznego, lecz sprawa formatu artystycznego obu autorów, z których jeden był niewielki.

A jednak Andrioli to postać fascynująca i warta przypomnienia. Walczył w powstaniu styczniowym, uwięziony uciekł do Londynu, następnie znalazł się w Paryżu, skąd w 1886 przybył do kraju jako emigrant polski emigracji. Ponowne uwięzienie przedłużyło się w kilkakrotnie zesłanie do Wiatki. Potem działał w Warszawie — w charakterze grafika. Rok przed śmiercią mógł obejrzeć na okładce „Tygodnika Ilustrowanego” pierwszą reprodukcję kolorową (aktualnie Stachowicza „Panna Młoda”), która okazała się zapowiedzią początku reprodukcji fotomechanicznej i końca drzeworytu reprodukcyjnego.

Andrioli zmarł 23 sierpnia 1893 roku w Natęczynie, jego grób znajduje się na cmentarzu w pobliskiej Bochatnicy Kościelnej, o czym, zdaje się, nieco zapomniano na Lubelszczyźnie.

IJK

MINUTA MYŚLENIA

Niech żyje nagroda!

MAMY w Lublinie rzecz rzadką w skali chyba krajowej: wojewódzka nagroda literacka. Ufundował ją Wydział Kultury PWRN, zdołał K. A. Jaworski i J. W. Zięba, a służyć ma ożywieniu życia literackiego na Lubelszczyźnie.

Bardzo to słuszna inicjatywa, ponieważ ono życie zbyt intensywnym pulsem nie bije. Wprawdzie nie jest z tym aż tak źle. Jak wynika ze sformułowań Bohdana Szudry („Kamena” nr 1), który omawiając twórczość Marii Józefackiej przeogarniał całe lubelskie środowisko literackie nigdzie nie znajdując powodów do postawienia noty dostatecznej, ale nagroda chyba swą realność posiada.

FALSETEM

Plagiat?

DIONIZY Maliszewski z Ostrołki nadesłał do naszej redakcji list, w którym ni mniej ni więcej tylko zarzuca Kazimierzowi E. Steszukowi, członkowi grupy poetyckiej „Przytany”, działającej w Chełmie Lubelskim, dokonanie plagiatu.

Jako ów dionizy D. Maliszewski dołączył do listu dwa wiersze: jeden wyjęty z jego tomiku „Rzeźbione w burzynie” (L.S.W. 1967 r.), drukowany ponadto w „Barwach”, „Zielonym Szandarze” i „Chłopskiej Drodze”, drugi — samieżony w „Pomorzu” (nr 24 z 19-31 grudnia 1971 r.), nad którym jako autor figuruje właśnie K. E. Steszuk.

Wiersz D. Maliszewskiego drukowany był już czterokrotnie. Ten fakt świadczy wymownie o tym, jak bezpodstawnie są narzekania poetów, że ich utwory nie mogą ujrzeć światła dziennego! Fakt ten równocześnie może usprawiedliwić K. E. Steszuka: czytał wiersz cztery razy i tak mu on zapadł w pamięć, że stał się nieodłączną częścią jego „ja”.

Porównajmy. Tak przedstawia się „Krajobraz jesienny” pióra Dionizego Maliszewskiego:

Nad drogą z ciemnych barw ptak — szara drżąca trupa ucieżona w ostrych wiatrach — słucham ciszy wzbogaconej o motywy spadających liści.

Z opuszczonego gniazda wyczuwam jesienną wiersze maluje łód drobiazgowych drzew nisko nad polem.

Zapisałem krajobraz Marousza schwyty w oczu siodła i rodzinna wieś splaszona nagie pod ciężarem chmur.

Wiersz D. Maliszewskiego drukowany był już czterokrotnie. Ten fakt świadczy wymownie o tym, jak bezpodstawnie są narzekania poetów, że ich utwory nie mogą ujrzeć światła dziennego! Fakt ten równocześnie może usprawiedliwić K. E. Steszuka: czytał wiersz cztery razy i tak mu on zapadł w pamięć, że stał się nieodłączną częścią jego „ja”.

Porównajmy. Tak przedstawia się „Krajobraz jesienny” pióra Dionizego Maliszewskiego:

Nad drogą z ciemnych barw ptak — szara drżąca trupa, a ptak — szara

Just nie w wymiarze samego dopingu finansowego.

O Lublinie słusznie ktoś kiedyś powiedział, że jest miastem, gdzie pojedyncze dokonania artystyczne mogą przedstawiać się interesująco, ale nie wynika z nich inspiracji środowiskowej, gdzie odbywa się indywidualne skrobanie rzepki. Dlaczego? Czy dlatego, że każdy z twórców (o rozważaniu niniejsze należałoby poszerzyć o plastyków, muzyków, aktorów) sam siebie uważa za jedyną istotę doskonałą? Czy kontakty międzyodmiotowe są utrudnione przez brak wyposażenia materialnego? Czy stan atomizacji wynika z rywalizacji finansowej? Zaden z wymienionych powodów nie gra roli takiej, jaką mu się przypisuje a zasadniczym jest... niemożność zespołowego działania nawet w jego wymiarze towarzyskim. Lza się w oku kręci. Niekiedy ze znanych i zasłużonych przenoszą się na łono Abrahama, topniejąc zespół starych Polaków, których spokrewnienia wspólnota lubelskiego żywcem, a oczekiwana i nigdy w swej celowości nie zaprzeczona integracja nie dochodzi do skutku. Nawet już samo słowo zaczyna wychodzić z użycia.

Inicjatywy, inicjatywy. Gdzie on? „Kopie, mendeł narad za jedną ciekawą inicjatywę” — kiedy w lubelskiej gazecie pojawi się także ogłoszenie? Wprawdzie nie można winić samych twórców, że w naszym kraju cierpimy na elephantiasis konferencji, z których nie nie wynika, ale już samo tworzenie

puస్తego pola daje sposobność zebraniomani, która — biedaczka — sama stara się zalać istniejące braki. Niestety: ta ilość nie przechodzi w jakość i zielone światło dla inicjatywy wciąż oświeca nieobecność wszelkiego pojądu.

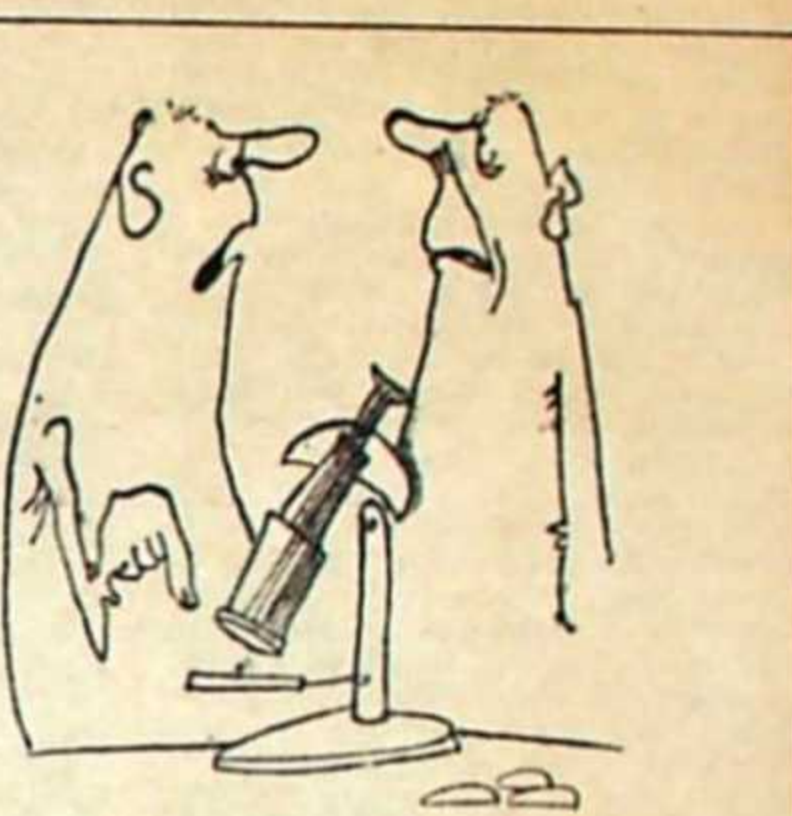
Zaraz... a może by tak zaproponować coś w rodzaju ciała porozumiewawczego między organizacjami różnych profesji? Zaproponowałoby się, gdyby nie obawa że propozycja zostanie przyjęta. Bo wtedy istniejącemu bezruchowi nadamy sankcje organizacyjne. Ciało powstanie, stwierdzi swoją przydatność, ustali wytyczne perspektywiczne, oraz program działania, po czym Władysławowi Filipiakowi tak samo daleko będzie do Eugeniusza Cwochowskiego, acz miejscem ich zamieszkania tak wielka przestrzeń nie dzieli. I nie będzie to wina ani autora „Dziwoćca pana Woyasy” ani specjalisty od portretów znanej postaci kobiecej, lecz w dalszym ciągu stanu rzeczy, w którym nie ma miejsca na tendencje wspólne myślenia o losach lubelskiej twórczości artystycznej.

Przeczytajcie listki „Most nad czasem”. Przy wszystkich niestosownościach porównania dwudziestolecia międzywojennego z czasami dzisiejszymi dwie okoliczności przy tej lekturze uderzają: uwaga: żywołowa, instynktowna skłonność do łączenia wyślików oraz niebywała padaż zachowania tych wszystkich momentów w serdecznej pamięci. Mowa np. o specjalnie godnej odnotowania działalności recen-

zenczo-krytycznej „Ekspresu Lubelskiego” na niwie teatru. Skądinąd (poszukiwania Mirosława Dereckiego) wiadomo, że przedmiot tej działalności to niemal zwykłe anonsy prasowe, jakie ukazują się przed i po przedstawieniu. Przesała? Nawet kolosalna. Ale musiało coś być w klimacie ówczesnego życia intelektualnego, co pozwoliło stereotypowemu drobiazgowi przetrwać tak wiele, a nawet urósł w ewenement. Wskazywaliśmy podobnego dziesiąt. Toż nawet najpoważniejsze wydarzenia artystyczne dla miasta — fundacja pomnika Czechowicza — spłynęło po opinii społeczno-artystycznej jak kaczka po wodzie. Jak kaczka dziennikarska. I ciekawe, czy ktoś po latach opisujący to wydarzenie we wspomnieniach przypomni sobie, kto wówczas przemawiał i kto nie przemawiał.

Nawołujemy się więc do blagi! Nie podobnego. Co — na odwrot — niekorzystnego z dwudziestolecia pozostało, to ten klimatik prowincjonalnego zagubienia propagacji, prowadzony prostą drogą do megalomanii i kabotyństwa. Ale nie osiągnięty za wiele bez klimatu szczytowej uwagi dla wszystkich, co wynika z chęci do prawdy, powiększenia stanu już posiadanej. A literacka nagroda wojewódzka taką cechę posiada. Dlatego cieszę się i sto lat niezależnie od życzeń (jako też — w skromnym wymiarze — biletów Banku Narodowego), które laureaci już otrzymali.

Ijon



— A może by z tego zrobić problem? Rys. I. Szalecki



Rys. A. Stok

A oto utwór Kazimierza Eugeniusza Steszuka „Zapisałem krajobraz”:

Nad drogą z fald sypiękiego śniegu ptak — szara plama zimy ucieżona w ostrych wiatrach — chłone ciszę zakłeta w motywo szklistej biele

z utkanych wokół domów zagat wycieram zimowe wiersze przystajęm je w skostniale sople drzew w milczeniu stojące w ogrodzie

liczę jak strofy zgodniade wróble skaczące żabkami po śniegu nanoszę na papier długopisem skrzywienie butów na mrozie

Zapisałem zimowy krajobraz schwyty w ostronole żrenice krajobraz łaci rodzinnej splaszona nagie pod ciężarem chmur w kleszczach mrozu

Przyjrzyjmy się bliżej obu utworom. D. Maliszewski zarzuca K. E. Steszukowi dokonanie plagiatu, a może rzecz nie w plagacie, ale w ulepszeniu?

Steszuk przede wszystkim usunął duże litery. Uczynił bardzo słuszną: duże litery zaciemniały wzięje poetyckiego spojrzenia. Poza tym dokonał poważnej poprawki: Maliszewski, nie wiadomo dlaczego, używa trzeciej osoby liczby pojedynczej: ujmuję, maluje, zapisuje. Można słusznie zapytać, kim jest ów tajemniczy on? Jeśli czynności tych dokonuje sam krajobraz jesienny, nasuwa się dylemat: czym wyczuje, czym zapisuje, czym maluje? Krajobraz, jak wiadomo, nie ma przecież rąk! Niezależnie jednak od wszystkiego K. E. Steszuk ma w swoim wierszu trzecią zwrotkę, która jest całkowicie samodzielna. Maliszewski nie nie wspomina o wróblach, a przecież ptaki te trzeba darzyć sympatią. Nawet mistrz Gałczyński powiedział mocno (do jego cholewki), że wróble trzeba kochać. Widac, że Steszuk wziął sobie te słowa serdecznie do serca, za co trzeba go pochwalić, a nie ganić.

Oczywiście można dyskutować, czy nad drogą z fald sypiękiego śniegu jest plagiatem, czy nad drogą z ciemnych barw, chociaż nawet małe dziecko wie, że inna jest droga z sypiękiego śniegu, a inna z ciemnych barw. Prawdą jest jednak bezsprzeczna, że zarówno z sypiękiego śniegu, jak i z ciemnych barw bawiana się nie ulepi.

Możemy tak analizować po kolei. Ptak — szara drżąca trupa, a ptak — szara

plama zimy to jednak nie to samo. Maliszewski słucha ciszy, a Steszuk chłonie ciszę. Maliszewski wyczuwa wiersze z opuszczonego gniazda, a Steszuk — z utkanych wokół domu zagat. Obaj więc mają inną kryjówkę, bynajmniej nie szufladę. Maliszewski zapisuje Marousza, a Steszuk ogólnie — zimowy krajobraz. Jego utwór nie jest więc regionalny, nawet nie ogólnopolski, dotyczy tych rejonów świata, gdzie spada śnieg.

Mówiąc zresztą szczerze, utwór Maliszewskiego ma tę cenną właściwość, że łatwo go dostawać do każdej pory roku. Np. do wiosny:

Nad drogą w zieleń spięta ptak — szary drżonek wiosny wystruany w ostrych wiatrach — słucham ciszy wzbogaconej o motywo rozciągających się liści.

W napełnionych gniazdach wie miestczyk zimowe wiersze. Przystajęm je do seledyn liści trzepoczących nad polem.

Zapisałem wiosenny krajobraz schwyty w oczu siodła i rodzinna wieś splaszona nagie pod stołcem gorącym znoju.

Albo do lata:

Nad drogą zielono-czarna ptak — uśmiech pełen życia trzepocze w stołcu. — Truam w tej ciszy wzbogaconej o motywo drgających liści.

Do gniazda nowo zbudowanego znoszę wiosenne wiersze, przystajęm je w zieleń zawieszoną nad polem.

Zapisałem krajobraz lato wchwyty w żrenice — krajobraz rodzinnej wioski powiększonej nagie o promień stołca.

Dionizy Maliszewski, tak czujny, może z kolei mnie osądzić o plagiat. A ja chciałbym przecież uwypuklić wagę jego utworu, który po drobnych przeróbkach może być odczytany do każdej pory roku. Steszuk pokazał to pierwszy. I za to go cenię.

MAJ

Noty i notki

W kilkunastoosobowej wyliczce dziennikarskiej do Włoch „Polityka” uzyskała aż dwa miejsca. Pierwszy ujął się Bywalec, który jednak nie okazał się bywalcem na szeroki świecie, bo rzeźbę Mojżesza dżuwa Michała Anioła, razem z zawierającym je kościołem, samowolnie przeniósł z Florencji do Rzymu. W następnym numerze „Polityki” Pasent napierw pisze, że jechał Autostradą Słońca z Mediolanu do Florencji, co mogło być prawdą, a zaraz potem, że ową autostradę długość 5 km Włosi budowali 3 lat. Fe, brzydtko wypadają takie rzeczy o gospodarzach, bo przecież wystarczyłoby Pasentowi spojrzeć na mapę nr 153 wydaną przez PWN, by stwierdzić, że w linii prostej (autostrada zaś nie jest taka prosta) z Mediolanu do Florencji jest ponad 150 km.

Niemal w przededniu lodzkiego zjazdu ZLP Krzysztof Nowicki bardzo naraził się literatom proponując im w „Tygodniku Kulturalnym” (nr 5), aby wice wiceorytorki były bezpłatne. „Kulturalno-społeczna” zamieściła obszerne informacje lub nawet całe reportaże z konkursu na strip-teaserki, ogłoszonego przez stowarzyszenie Estradę. Chociaż każda relacja różniła się w szczegółach, nierzadko bardzo istotnych w pierwszej tego typu imprezie w naszym kraju, dwie rzeczy nie ulegały wątpliwości: 1) impreza wszyscy wykpiłi, nie wykazując zrozumienia dla twórczy inicjatywy instytucji, powołanej do upowszechniania kultury w najszerszych masach, 2) w czasie konkursu czy egzaminu nie było żadnego rozważania się dziewcząt. W związku z tym drugim, a w strip-teasie przecież zasadniczym brakiem, trzeba zauważyć, że: 1) do finału, który ma się odbyć kameralnie w biurze Estrady, mogła przedostać się kobieta ze sztucznym biustem, 2) mogli również przedostać się próżny z kobietą meczoryzma, dzięki czemu stoleczna Estrada może okazać się pionierem w nowym rodzaju sztuki — mekskim strip-teasie.

Byłem i jestem z wielkim zainteresowaniem dla komputerów. Ale ten, który — jak twierdzi „Express Więziowy” (nr 13) — zastąpił acymistria w szachach, trzeba posłać na szum. Oświ według warszawskiej populudniówki tenże komputer rozpoznajając grę białymi „namyślał się” 10 minut przed pierwszym ruchem — i rozpoczął grę królewskim pionkiem. Nad takim ruchem nawet szachowa noga nie namyśla się ani pół minuty. Nie jest również prawdą, że w czasie owych 10 minut komputer „przeanalizował 150 tysięcy wariantów”, jako że wariantów dla pierwszego ruchu jest wszystkich 20. Nad drugim ruchem zaś komputer „namyślał się” 30 minut — i powinien być zdyskwalifikowany za przekroczenie czasu.

Faleczkę od pouczenia młodzieży w różnych sprawach seksualnych w „Id” przejął dr Zbigniew L. Starowiec. W nr 3 są już różni aspektami moralności lekarzkiej. Zgadając się, że przeciętnej polonii teże moralność, dodaje jednak modyfikacji, że powołano się „dać tej grupie swobodę również i stosowne możliwości i przywileje. Nie jako zapłatę za moralność, ale jako zespół warunków ułatwiających nierozumianie się z nią”. Autor powinien chyba wiedzieć, że w zasadzie każdy przywilej przedci czy półrocz staje się właśnie zapłatą za coś i prowadzi do demoralizacji. Po drugie — prawdziwa moralność uławiana się dopiero w starciu z warunkiem czy sytuacją, uszująca te moralność zmniejsza lub nadzwierga, natomiast stworzenie warunków „ułatwiających nierozumianie się” byłoby budowaniem pod klaszorem sztucznej moralności.

JOD

Odpowiedzi redakcji

B. M. (nie podane miejsce zamieszkania). Żywimy rozmaite wątpliwości, gdyby szło o traktację Pańskiej refleksji nad światem. Np. „Skonczymy rozważać życie. Nie robimy z życia tragedii. Żyjmy, aby zasłużyć (na parę linijek w encyklopedii)”. Wątpliwny, aby człowiek mógł zasłużyć na owe parę linijek w encyklopedii, kierując się w życiu jedynie spontanicznymi odruchami, a odcinając od „rozważania życia”. Należy los swój kształtować świadomie. Jeśli idzie o inne teksty, to kształt poetycki Pańskich lirycznych wierszów mocno staroświecki nam się wydał, jeżeli nie zgoda częstochowski: „Odejdź słowo przekięta. Nie dręć mnie nocami. Niech twoje ponęta (Nie będzie cierniami. To mogłoby mieć swój urtek jako parodia, lecz nie jako „krzyk serca” współczesnego poety. „Twoje ponęta” — to nas w każdym razie poraziło śmiesznie.

K. N. w Lublinie. Doprawdy, trudno nam prowadzić listowną korespondencję z autorami, szczególnie z osobami, które mieszkają w Lublinie i z łatwością przecież mogą dostać „Kamena”. Odnosnie samych tekstów — wyspecjalizował się Pan w obyczajowych obrazkach, głównie z tzw. marginesów społecznego. Jeden czy dwa takie obrazki już kiedyś Panu drukowaliśmy. Nawet zabawne tekstki, a kto wie, czy w naszych smutnych czasach, kiedy słowo poczyna tracić swą moc, jednym z

ważniejszych powołań literatury nie jest bawie żmudnego czytelnika. Po prostu — bawie. Ale, ale nie możemy się jednak wyrzyci staroświeckiego przekonania, iż literatura winna mieć ambicję tworzenia postulatycznej wizji świata. A w każdym razie winna się rządzić głębszą refleksją nad światem. Wydaje nam się, że Pański talent jako wyczuje w tej dziedzinie coś bardziej żywego. Chyba dotarł Pan do momentu, kiedy należy przemyśleć swoje pisarstwo, próbować inaczej, gdyż w przeciwnym wypadku będzie się Pan powtarzał w sposób coraz bardziej nudzący.

K. P. w Zadybiu Starym. Powiada Pan: „Spodród czasopiśmie społeczno-kulturalnych wybrałem Kamena, pismo najchętniej przeze mnie czytowane i bynajmniej nie regionalne ani szablankowe, posiadające szczególnie żywy stosunek do różnych wierszostwo i domorodnych literatów”. Gładko przysyłamy ten komplement, Powiada Pan dalej: „Pomimo ewentualnej negatywnej odpowiedzi pisanie na razie nie zaprzestane”. Ukłoniemy się tak skuciecznie, nie odmiślamy się od Pańskiej prawdy. Jednego tylko nie możemy Panu darować, sformułowania: „na wiersze będę ci słuchał”. Ponadto dziwi nas trochę to obniżenie śmieci o bardzo przeciętne młodzie czołwieka, nie wydaje nam się, aby to były sprawy, które autentycznie Pan przeżył, toteż często bądź — nie pogubiamy się, jak Pan nam siebie przypomni — powiedzmy — za pół roku. Na razie pozdrawiamy.